№ 14. Warszawa, dnia 26 Marca (7 Kwietnia) 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Gustaw Dore.

(Dokończenie.)

Gustaw Dore odczuwał boleśnie każdy pocisk, bolał on, nie tyle nad sobą, jak nad smutnym kierunkiem sztuki i upadkiem ducha w narodzie.

Owacye Anglików nie mogły mu wystarczyć. Alzatczyk, urodzony w Strazburgu, czuł się podwójnie Francuzem, raz z prawa dwówiekowej tradycyi, powtóre z prawa wolnego wyboru, natychmiast bowiem po zajęciu Alzacyi przez Prusaków, przyjął narodowość francuzką. Gorzko też bolał, widząc prace swoje lepiej uczczone w Anglii, niźli w ojczyznie własnej.

Obojętność ta nie była jednak powszechną. Liczył on i między swymi wielu gorących zwolenników i serdecznych przyjaciół. Wielka jego pracownia, kilka lat temu jeszcze, była miejscem zebrania najsłynniejszych literatów i artystów, tak muzyków jak malarzy. Nieraz na niedzielnych wieczorach, śpiewała tu Adelina Patti przy akompaniamencie Rossiniego, poeci powtarzali najnowsze utwory.

Przewodniczyła tem zebraniom poważna matka artysty, z którą od śmierci ojca, nigdy się nie rozłączał. Śmierć tej gorąco ukochanej matki boleśnie uderzyła go w serce. Odtąd umysł jego sposępniał, gorzko uczuł sieroctwo swoje, nie opuszczała go jednak energia, przeciwnie z większą jeszcze gorliwością, chwytał za pędzel i dłuto, czerpiąc w pracy jedyne ukojenie. Wizerunek matki, własną wykonany ręką, pomieścił w swej sypialni, a pod nim medalion, ze splotem siwych włosów.

Dore przez lat czterdzieści pracował bez wytchnienia, ztąd ta nadzwyczajna liczba jego utworów. Wstawał codzień o szóstej rano, przez dzień cały nie spoczywał chwili, przebiegając od jednej pracowni do drugiej obszerniejszej, którą urządził sobie w dalekiej części miasta, na wielkie obrazy i rzeźby. Rysował wieczorem, częstokroć do drugiej po północy. Mimo takich wysileń używał krzepkiego zdrowia, a nawet w dojrzałych latach, zachował pozór młodości. Średniego wzrostu, barczysty, kształtny, ruchy miał żywe, oko czarne błyszczące ogniem, czoło wysokie, pełne myśli, włos ciemny, bujny, odrzucony na tył głowy, na ustach, ocienionych małym wąsem, przebiegał zwykle łagodny uśmiech. Nigdy, przy najzawziętszej pracy, nie puszczał z ust cygara. Jeśli znużony porzucił niekiedy dłuto lub pędzel, chwytał pilnie za skrzypce, wygrywał z uczuciem znane melodye, najczęściej Rossiniego, jakby szukał w nich natchnienia i z nową siłą powracał znów do stalug.

Wielcy artyści gdy przyjdą do zamożności, lubią zazwyczaj otaczać się zbytkiem. Słyną w dziejach sztuki, pyszne pracowie Weroneza i Tycyana, pełne nagromadzonych arcydzieł. Mackart w Wiedniu, Wanters w Brukselli, Munkaczi w Paryżu, urządzili sobie prawdziwe świątynie. Rubens w Antwerpii, zbudował niegdyś wspaniały pałac, zebrał w nim arcydzieła mistrzów, świadczy o tem przechowany dotąd katalog. Michał Anioł tymczasem geniusz surowy, zajmował mały domek u stóp kapitolu w Rzymie, pracował w nim samotnie, dając przystęp do siebie, kilku zaledwie uczniom. Wytworny Rafael nie przywiązywał też wagi do otaczających go przedmiotów, wystarczały mu cudne zjawiska snujące się przed okiem jego duszy.

Gustaw Dore nie szukał także sztucznej podniety. W ogromnej pracowni jego za miastem, przerobionej ze starej rajszuli, nie było nic oprócz wielkich płócien na stalugach, oprócz schodków i drabin różnej miary i wielkiego stołu, zarzuconego mnóstwem pędzli, palet, farb i innych przyborów malarskich.

Pracownia urządzona przy mieszkaniu, zkąd wyprowadzono zwłoki artysty, cokolwiek ozdobniejsza, służyła bowiem i za salon, daleko tu jednak od przepychu. Dore pomieścił na ścianach obrazy swego pędzla, przypominające mu jakąś myśl lub datę pamiątkową. Jest tu między innemi, jeden z pierwszych jego rysunków, gdy był dziesięcioletniem chłopięciem, są również dwie sceny rzucone na płótno drżącą ręką patryoty, przedstawiające rodzinny zakątek *przed wojną* i *po wojnie.* Nad tem wszystkiem pannje cudna głowa Chrystusa.

W pracowni rozrzucone w bezładzie niezliczone rysunki, wykonane różnemi czasy, do illustrowanych publikacyi. Na wielkich stołach rozpoczęte prace, tu akwarelle, tam drzeworyty, wśród tysiąca pędzli i rylców. W pośrodku sali bilard, z boku fortepian, na nim skrzypce. Otwarte drzwi, prowadzą ztąd do małej cieplarni, pełnej liściastych roślin i kwitnących zawsze kwiatów.

Śmierć przecięła dni mistrza, w chwili gdy geniusz jego przyszedł do najwyższej potęgi, gdy dwie ostatnie prace, miały nakoniec pokonać najzawziętszych przeciwników, i zapewnić mu niezaprzeczony tryumf. Jedną z tych prac illustracya do dzieł Szekspira, zamówiona przez londyńskiego wydawcę, drugą pomnik Aleksandra Dumasa, szczęściem zupełnie już wykończony. Wkrótce pomnik ten odlany ze spižu stanąć ma przy bulwarze Malhesherbes. Ostatni rok życia swego Dore poświęcił tej pomnikowej pracy. Sposób w jaki przystąpił do niej, świadczy o wielkiem jego sercu.

Magistrat Paryża postanowił uczcić pomnikiem najpopularniejszego z pisarzy francuzkich, tak sa-

mo jak Edymburg uczcił niedawno Walter Skotta, kolosalną grupą złożoną z głównych bohaterów, stworzonych geniuszem poety. Proszono Dorego, by narysował projekt.

Nazajutrz potem, Dore przynosi szkic naprędce nakreślony. Dumas z obliczem wesołem, z uśmiechem na ustach, oddany w postawie siedzącej. Poniżej piedestału, grupa mężczyzn, kobiet i dzieci różnych stanów, przysłuchuje się z zajęciem, podczas gdy jedna z grona czyta popularną opowieść. Po drugiej stronie siedzi muszkieter z szablą w ręku, jakby czuwał nad chwałą mistrza.

Projekt przedstawiony na radzie, podobał się wszystkim, obsypano go oklaskami.

— A więc radzi jesteście z myśli? — zapytał Dore.

— Wyborna, znakomita! — odpowiedziano chórem.

— Skoro tak — rzecze artysta — chciejcież oddać mi jedną usługę. Niech ja sam wykonam ten pomnik, nie żądam za to nic. Tylekroć wyrzucano mi zbytnią twórczość, pragnę więc spłacić dług mój, najpłodniejszemu twórcy naszego wieku.

Magistrat przyjął bez wahania ofiarę. Mistrz zabrał się do dzieła z niezrównanym zapałem. Uszczęśliwiała go myśl, że pomnik przezeń wykonany, uwieczni imię jego wobec potomnych pokoleń. Nim pomnik stanął, śmierć zamknęła mu oczy!

W ciągu krótkiej choroby, Dore wołał bezustannie na lekarzy: „Prędko mnie leczcie, niech wstanę, mam dokończyć Szekspira!"

„Ah! mój Szekspir! mój Szekspir!" powtarzał jeszcze w przeddzień śmierci.

We dwa dni potem, (25 stycznia), liczny orszak, złożony z całej intelligencyi francuzkiej, z najznakomitszych literatów i artystów, odprowadził zwłoki Dorego do kościoła św. Klotyldy, a póżniej na cmentarz *Père la Chaise*. Obszerny przybytek nie mógł pomieścić tłumów. Aleksander Dumas piękną mową na grobem, głęboko poruszył obecnych, przypomniał on wielostronne prace artysty, uczcił jego geniusz, wzbijający się coraz wyżej a wyżej, w nieskończony świat piękna i prawdy. Gorzko ubolewał nad tymi, którzy nie zdolni dosięgnąć takich wyżyn, pojąć go nie chcieli, czy nie mogli.

„Nasz panteon francuzki, rzekł w końcu, wybrukowany niewczesnym żalem naszym. Nie sądźmy zbyt pośpiesznie, bądźmy cierpliwi, zostawmy ostateczny wyrok potomności, a przedewszystkiem szanujmy tych, którzy jak Dore, przeżywszy lat pięćdziesiąt, przez czterdzieści lat dawali największy przykład, jaki dać można ludziom, przykład niezmordowanej pracy, miłości piękna i bezustannej pogoni za wielkim ideałem!"

Gwiazdka szczęścia.

Czemu patrzysz tak do góry,
Na niebieskie tam lazury?

Czy dzieweczko gonisz okiem,
Za gwiazdeczką, za obłokiem?

Może szukasz na błękicie
Gwiazdki, coby całe życie,
Przyświecała ci jednako?

O dzieweczko! gwiazdkę taką
Znaleźć trudno, bo czasami
Pokrywają się chmurkami,
I te, co świecą tak jasno,
Zda się, że nigdy nie zgasną!

Próżno, próżno tam na niebie
Szukasz gwiazdki tej dla siebie,
Próżno stoisz smętna, blada,
Próżnoć łezka z oczka spada,
Twe szukanie nadaremne,
Bo te chmurki szare, ciemne,
Co gwiazdeczki zakrywają,
Niespodzianie przybywają.
Gwiazdka szczęścia niezaćmiona
Ah! to rzecz niedościgniona!

Kto jej szuka — zawsze błądzi,
Że ją znajdzie — och! źle sądzi.
Niebo szęścia nam nie dało,
Aby zawsze przyświecało,
I nie szczęście, lecz cierpienie
Nadaje życiu znaczenie.
Kto nie cierpi w swojem życiu,
Czy to jawnie, czy w ukryciu;
Kto goryczy nie skosztuje,
Ten i życia nie pojmuje!

Człowiek, patrząc tam do góry,
Często skarży się na chmury,
Które szczęście zasłaniają,
Smutek w koło roztaczają.
Na co, po co, one w świecie?
Niepotrzebne są tu przecie!

O! i one mają cele,
One uczą ludzi wiele,
One duszy hart przynoszą,
W wyższe sfery ją unoszą,
Bo poznaje, że tu nizko
Tworów ziemi jest siedlisko!

A gdy z chmur tych dusza czysta,
Wyjdzie piękna, płomienista,
To zaświeci ah! tak jasno,
Że i gwiazdy przy niej zgasną!

Helena Bojarska.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

— Uczy się wyraźnie, pomyślał młodzieniec, ale ranny z niej ptaszek a i bardzo pracowity. Czyby się kształciła na uczoną literatkę? Byłby to niezwykły fenomen, muszę koniecznie dojść co to za jedne i jak się nazywają.

Ale trudniej to było jak mu się zdawało. Z wyżyny w jakiej mieszkali, na dole trudno było dojść wzajemnego położenia kamienic w których pokoiki ich się mieściły, zwłaszcza, że okna nie były frontowe. Wypytywania, badania nie przyniosły żadnego owocu, Stanisław pomimo dręczącej go ciekawości pozostał nieświadomym jak był przedtem i zaprzestał wreszcie wszelkich wywiadywań. Wiele razy jednak wracał do mieszkania, pierwsze spojrzenie rzucał zawsze w okna swoich sąsiadek i jeżeli je nie zastał szczelnie zasłonięte, co się często zdarzało, spostrzegał zawsze panienkę siedzącą przy pracy otoczoną książkami i papierami.

Raz przypadkiem o niezwykłej godzinie, zaszedłszy do mieszkania zastał ją przy jakiejś pani głośno czytającą, i o ile mógł się domyśléć, w języku francuzkim.

Drugi raz przed samem południem, grała na pianinie a niemłody już mężczyzna robił uwagi i wskazywał na nuty. Brała więc lekcye języka francuzkiego i muzyki na co nie stać byle kogo, co zmuszony zbyt oszczędzać i nawet z jednym groszkiem ściśle się rachować.

I tak upływał tydzień za tygodniem, tajemnica w niczem nie została odsłoniętą, jedno jednak spostrzeżenie szczególniej go podrażniło. Oto raz wieczorem po cieniach padających na spuszczoną roletę, poznał, że za nią siedzą dwie osoby. Jedną była młoda jego sąsiadka, drugą jakiś mężczyzna, często się ku niej nachylający, jakby jej do ucha coś szeptał tajemniczo.

Czasami brał ją za rękę i do ust przyciskał, panienka nie wzbraniała się, ale usuwała się zaraz za futrynę okna. Stanisław zmarszczył czoło, rozgniewał się choć sam nie wiedział o co i na kogo, ale uczuł w sobie jakieś dotąd nieznane mu niezadowolenie.

Z westchnieniem zasiadł do stolika tyłem się zwracając od miejsca swojej obserwacyi. Odtąd na panienkę spoglądał z pewnym żalem, coś na niechęć zakrawającym. Zdawało mu się, że ten urok niewinności jakim barwiła się cała postać dziewczęcia, jakiś natręt zdmuchnął jak pyłek z kwiatowego kielicha, jakby zabrał to co do niego należało. Gniewał się na nią i na siebie, gniewał się na świat cały, nad przyczyną tego nie zastanawiał się, nie badał jego powodu, ale widocznie gniewał się a nawet posmutniał.

Dostrzegł to pan Mateusz, a widząc go niezwykle roztargnionym, zamyślonym i małomównym, zaniepokoił się przypuszczeniem czy czasem nie chory.

— Zdrów jestem Bogu dzięki — odrzekł Stanisław—a jeżeli jaką zmianę pan Sędzia we mnie dostrzega, to naznaczyć jej przyczyny nie umiem. Rzeczywiście jestem trochę niehumorny, ale to przejdzie.

— Może nie wiedzie się wam i dotknęły was jakie straty bolesne, bo i o tem pogłoski mnie doszły.

— To rzecz zwyczajna, ciągle się przytrafiająca i na nią zupełnie jesteśmy przygotowani — odrzekł Stanisław.

— Cóż ci więc jest, bo masz minę jak po zażyciu lekarstwa?

— Nie wiem panie Sędzio, ot zwyczajnie jakieś usposobienie nienormalne, jakiś chorobliwy stan nie ciała ale ducha, z którego sprawy zdać sobie nie umiem. Ale to minie.

Gdy to mówił Stanisław, w myśli migotała mu zasłona z cieniami widzianemi wieczorami, szczególniej owa rączka do ust przyciskana, ale czyż mógł przypuszczać, że to tak na niego niekorzystnie oddziałało. Przecież panna była mu zupełnie obcą, nieznaną ani z imienia, ani z nazwiska, cóż więc mogła go obchodzić, z kim się przyjaźni i kto ją w rękę całuje? Wprawdzie wszystko to stało mu ciągle w myśli, zachwycało i gniewało zara-

zem, ale czyż drobiazgi tak błache mógł opowiedzieć? Czyżby pan Mateusz nie uśmiał się z niego serdecznie, nazywając romansowym półgłówkiem, zakochanym po uszy w marze swojej wyobraźni?

Po tym wypadku zeszło kilka tygodni, scena podobna nie powtórzyła się więcej. Wrażenie niemiłe zaczęło się w nim zacierać, wreszcie zatarło się zupełnie, panienka jak przedtem, uczyła się, odbywała lekcye, i znowu wyglądała jak rusałka w oczach młodziana, której brakło tylko skrzydełek, aby frunęła w sfery zaziemskich przestrzeni.

Czyż więc Stanisław zakochał się wbrew zrobionemu postanowieniu?

Pytania tego i on nie umiałby rozwiązać, nie zastanawiał się nad niem, zresztą nie znał miłości i nie wiedział jak powstaje i rozwija się. Widokiem nowym dla siebie zajmował się bezwiednie, lgnął do niego, szukał go, ale nawet na chwilę nie przypuszczał, że się kocha.

Ciekawość to była i nic więcej jak sam przed sobą przyznawał.

Później zaszedł nowy wypadek.

Raz przed wieczorem, Stanisław wsunął się cichaczem do swego mieszkania, bo już umiał to robić, aby dziewczęcia nie płoszyć stukotem drzwi z trzaskiem otwieranych i zamykanych. Otóż wsunąwszy się, stanął w ukryciu w którem nie mógł być dostrzeżony i spojrzał w okno przeciwległe. Dzieweczka zajęta była nauką. Wtem nagle z krzykiem radości poskoczyła ku drzwiom na powitanie jakiegoś średnich lat mężczyzny ubranego w kapotę mieszczańską sieraczkową, szamerowaną czarną taśmą. W długich butach po kolana, na szyi miał czerwoną kraciastą chustkę, włosy jasne, długie, rozdzielone nad czołem i wąsy krótko podstrzyżone. W ręku trzymając kapelusz ze słomy zwyczajnej upleciony, obejmował dzieweczkę za szyję i do piersi ją przytulał, a ta śmiejąc się radośnie oderwać się od niego nie mogła.

— Czyby to był jej ojciec? — zapytał sam siebie Stanisław. — Wygląda na kolonistę lub mieszczanina, zupełnie nie harmonizującego z lekcyami muzyki i języka francuzkiego, jakie panienka pobiera. Dziwne to wszystko, ale obcych nie wita się z taką szczerą i serdeczną radością, musi więc być koniecznie jej ojcem, ale czemże będzie ta, którą za matkę dotąd uważałem?

Stanisław zasiadł do pracy o wszystkiem zapominając. Wtem nagle usłyszał w pomieszkaniu sąsiadek głos podniesiony z wielkiem wzruszeniem. Spojrzał, okno było nie zasłonięte, widać, że rozmowa pochłonęła całą uwagę mieszkanek, skoro zapomniały o tem, czego robić nigdy nie zaniedbywały, zwłaszcza gdy wiedziały, że Stanisław znajduje się w domu. Przy oknie siedział gość i coś mówił z przejęciem, bo gestykulował silnie rękami, odsuwał z gniewem leżące na stole książki i papiery a dzieweczka stała naprzeciw niego z załamanemi rączkami i płakała.

Stanisław zawrzał oburzeniem, nazwał w myśli nieznajomego zbójem i byłby chętnie wyrzucił go za drzwi, byle tylko dzieweczkę w smutku pocieszyć.

I przybysz mówił długo z jedną zawsze energią, jeżeli zaś domniemana matka wtrąciła się do rozmowy, potrząsał głową niechętnie, podnosił pięście, w stół niemi uderzał i przerywał brutalnie wszystkie wywody głos jej krzykiem przytłumiając. Panienka ciągle płakała.

Stanisław nie mógł patrzyć na jej cierpienie i wybiegł z mieszkania.

Gdy w parę godzin później znalazł się znowu na swem stanowisku, w sąsiedniem mieszkaniu panowała już zgoda najzupełniejsza, poswark chwilowy przyciszył się a wróciła radość jakby dalszy ciąg powitania.

Rozmawiano, śmiano się, panienka przerzucała papiery i książki, coś długo rozpowiadała i przy każdym przestanku, całowała gościa w rękę a ten z dobrocią się do niej uśmiechał. Zmiany tak nagłe z radości do gniewu a od niego do uczuć najprzyjaźniejszych, były prawdziwą dla Stanisława zagadką. Patrzył, nadsłuchiwał, rozważał, tworzył rozmaite kombinacye, ale daremnie! Czem poznane osoby były względem siebie, nie mógł odgadnąć, a nawet zdało mu się niepodobieństwem aby panienka tak urodnej powierzchowności, tak majestatyczna w poruszeniu, tak pilnie kształcąca się, była córką prostego rolnika może nawet czytać nieumiejącego. Była nią jednak, bo czemże innem jak nie ojcostwem można było wytłomaczyć, jej radość w powitaniu, potulność w gniewie i to całowanie rąk tak pełne szacunku i poważania.

Gość kilka dni zabawił w Warszawie, na chwilę pożegnania Stanisław trafił przypadkiem i zastał panienkę bardzo smutną, z oczami spuszczonemi ku ziemi; opiekunka z rękami złożonemi stała tuż przy niej, a ojciec coś do niej mówił bez gniewu i uniesienia, ale z pewną stanowczością, jakby udzielał rady i zalecał ich wykonanie.

Rozłączono się wreszcie. Panienka przy ostatecznem pożegnaniu, klęczący objęła kolana ojca, ten na głowie jej położył ręce, wzniósł oczy w górę jakby w modlitwie, podniósł ją ku sobie, ucałował w czoło i potem wszyscy troje poszli do drugiego pokoju zabierając małe pakuneczki.

Była to scena bardzo uroczysta, Stanisław nie mógł od niej oczów oderwać. Przypomniał sobie własną matkę i ojca, radość ich przy powitaniu, gdy ze szkół na wakacye przyjeżdżał i smutek gdy się z nimi rozłączał. Ścisnęło mu się serce, oczy uperliły łzami, uczuł dziwne współczucie dla nieznajomego dziewczęcia, jakby pokrewnił się z nią duchem. Łzy szybko otarł, z wrażeniem jednak doznanem nie mógł się rozstać, a gdy zasiadł do pracy, piękna dzieweczka ciągle majaczyła mu w myśli a przy niej ojciec z modlitwą na ustach i błogosławieństwem.

Od chwili ostatniego wypadku, w pomieszkaniu sąsiadek Stanisława wszystko wróciło do dawnego porządku. Panienka ciągle zajęta nauką odbywała lekcye jak dawniej, czytała, grała na pianinie, dostrzegał tylko niezwykły jakiś ruch czasami, jakby zbieranie rzeczy i robienie pakunków. Gdy św. Jan minął i nadeszły pierwsze dni Lipca, ruch ten powiększył się, a ósmego od rana zaczęto wynosić rzeczy i przygotowywać się do opuszczenia mieszkania.

— Przeprowadzają się — pomyślał sobie Stanisław — to i lepiej. Była to mimowolna przeszkoda, której poddawałem się chętnie, choć nieraz gniewałem się na nią. Panienka ta dziwne na mnie wywarła wrażenie, nie pokochałem jej przecie a jednak i oczy i myśli zawsze miałem przy niej. Niepojęte to uczucie... słabość niedarowana... gdy przestanę napawać się jej widokiem, wszystko rozwieje się jak mgła poranna i może tylko zostanie wspomnienie niby sen co tworzy niepojęte obrazy. Niechże ono jedyną pozostanie po niej pamiątką... pierwsza to ofiara, czyż mogę jej nie spełnić?

Stanisław przyjrzał się krzątaniu a gdy dostrzegł dzieweczkę przechodzącą przez pokój, przeprowadził ją oczami, wyszeptał: bądź zdrowa! żegnam cię, obyśmy w lepszych spotkali się czasach! i wybiegł szybko na miasto.

Tego dnia nie zajrzał już do domu, a gdy wieczorem powrócił, w mieszkaniu zastał nowe postacie, jakieś małżeństwo otoczone gromadą dzieci, z wrzaskiem dopominających się chleba, który między nie smarując masłem matka skwapliwie rozdzielała. Rozgniewał go ten widok i aby go nie mieć na oczach zapuścił zasłonę w oknie. Pomału jednak nawykł do niego, z dziatwą choć krzykliwą, często naprzykrzoną i łajaną pogodził się, a gdy jedna z nich, dziewczynka dziewięcioletnia zasiadła do pisania pod oknem, ubrana schludnie z włoskami w loczkach rozpuszczonemi, zdało mu się upatrywać w niej jakieś podobieństwie do dawnej mieszkanki. Polubił ją bardzo, śledził jej poruszenia, wpatrywał się w nią, ale pojmował, że zachwycał się nie nią, tylko wspomnieniem uporczywie w pamięci utkwionem.

Zdziwiony ale nie rozgniewany, uznał w tem jakieś dziwne przeznaczenie, hart jego duszy na próbę wystawiające i pewny zwycięztwa nazwał dziewczynkę swoją faworytką, ładną pokusą, ponętną, przyciągającą, ale bez nadziei tryumfu.

Gdy tak igra ze swobodą serca, gwałtem się praw swoich dopominającego, nadspodziewanie odebrał zaproszenie do dawania lekcyi historyi i literatury polskiej w domu pani Kraworskiej dla syna jej Stanisława. Były to przedmioty szczególniej przez niego ulubione i po prawie pierwsze miejsce zajmujące. Wiadomość ta ucieszyła go, ferye szkolne pozbawiły go korepetycyi stanowiących połowę jego utrzymania, depedentura niewiele przynosiła korzyści, znajdował się w bardzo krytycznem położeniu i choćby oszczędność posunął do ostateczności, rozumiał to dobrze, że rady sobie nie da. Poszedł też zaraz na wskazane miejsce, oddalone znacznie od głównego ruchu środka Warszawy, w którem więcej było ogrodów i pustych placów jak kamienic.

Dom którego numer wreszcie wyszukał, od frontu miał parkan wysoki w nim bramę z furtką otwartą prowadzącą na podwórze.

W głębi mieściła się mała parterowa oficynka, z po za której wyglądały wierzchołki drzew od ogrodu okalającego jej tyły.

Dostrzegł go przez sień na przestrzał idącą, a gdy przeprowadzony przez podwórze szczekaniem psa uwiązanego na łańcuchu, stanął u jej progu, z kuchni wyszła służąca i dowiedziawszy się kogo szuka, powiedziała, że p. Kraworska jest w ogrodzie i że tam ją znajdzie w altanie.

W altanie siedziała niemłoda już kobieta, zajęta robieniem pończochy, na stoliku w drugim rogu leżała książka rozłożona jakby od świeżo porzuconego czytania, a na uboczu pod parkanem, przesuwała się młoda panienka z grzęd zrywająca kwiatki i składająca je w pęk w ręku trzymany. Gdy z pod kapelusika ocieniającego twarz jej podniosła oczy i spojrzała na Stanisława, młodzieniec osłupiał.

Była to jego dawna sąsiadka, z tym samym poważnym wyrazem twarzy, z oczami błyszczącemi młodością i z tym samym powabnym uśmiechem, świadectwem jej duszy niewinnej. Poznała go i lekko zarumieniona zwróciła się ku altanie, przeszła drożynkę ruchem nie zdradzającym żadnego zakłopotania i dała znak matce skinieniem wskazując przybyłego.

Stanisław przez ten czas stał, nie wiedząc co ma z sobą robić.

Był pomieszany, onieśmielony, krew biła mu do głowy, pot kroplił się na czole. Zobaczywszy zbliżające się ku sobie matkę z córką, zdjął kapelusz i jąkając się rzekł:

— Przepraszam panie... pragnę się zobaczyć z panią Kraworską...

— Jestem nią — odrzekła matka — zapewne pan Stroński, polecony nam na nauczyciela mojej Stasi.

— Dla panny Sta... Stanisławy? — powtórzył młodzieniec z zadziwieniem. — Jestem rzeczywiście Stroński, ale mi powiedziano, że mam lekcye dawać synowi pani, Stanisławowi.

— Jeżeli tak powiedziano, to rzeczywiście omylono się — odrzekła matka — ale nic pan na tem nie straci, bo zamiast nieswornego może chłopca, dostaniesz uczenicę bardzo pilną, chętną i pojętną.

— Ah! cioteczko nie chwal przed czasem — zawołała Stasia -- bo może pan Stroński nie znajdzie we mnie tych przymiotów, jakie mi przypisujesz.

— To już twoja będzie wina nie moja — odrzekła ciotka i zaprosiła Stanisława do pomieszkania, chwaląc się ogrodem tak wielce wieś jej przypominającym.

W pomieszkaniu Stanisław poznał całe umeblowanie tak znane mu dobrze, a szczególniej stół przy którym Stasia zwykle pracowała. Leżały na nim przybory do pisania i kilka książek, mimowoli podsunął się ku nim: jedna z nich była słownikiem francuzkim, drugie obejmowały rozprawy Śniadeckich. Stasia spostrzegła to.

— Oh! — zawołała — tylko niech pan nie sądzi, żem bardzo rozumna mając tak rozumne książki na swoim stoliku. Czytam je usilnie, z uwagą, wielką uwagą...

— Wiem pani — przerwał Stanisław — widziałem to nieraz i podziwiałem.

— A więc nie omyliłam się w przypuszczeniu— zawołała Stasia — że to pan byłeś naszym sąsiadem na Starem mieście, w mieszkaniu wprost naszych okien.

— Tak pani — odrzekł Stanisław z ożywieniem — ja to jestem i nie mogłem się dość nauwielbiać pani pilności i pracowitości.

— O! pan daleko byłeś pracowitszy ode mnie— odrzekła z wszelką swobodą Stasia. — Nieraz o północku przebudzona widziałam światło w pańskim pokoju jeszcze się palące, a gdy szósta wybiła rano, już siedziałeś przy stoliku. Jakże zazdrościłam ci tej możności oddawania się ciągłej nauce. Nieraz czując brak przewodnika gniewałam się, że nas dzieli przestrzeń nieprzeparta, że nie mogę ci zadać pytania z prośbą o objaśnienie. Ot np. dano mi tu rozprawę Śniadeckiego przeciw filozofii niemieckiej, a ja nawet nie wiem czem jest właściwie filozofia.

— Gdybyś pani spytała się tego co cię obdarzył tem dziełem, byłby z pewnością dał odpowiednie objaśnienie.

— Być może — odrzekła Stasia z widocznem pomieszaniem i po chwili dodała już ciszej, jakby własnej odpowiadała myśli. Nie mogłam tego zrobić... nie mogłam... ale przy pańskiej pomocy nauczę się wszystkiego czego nie umiem i nie będziesz się gniewać, gdy o jedną rzecz kilka razy zrobię zapytanie.

— Choćby i kilkadziesiąt—odrzekł Stanisław— wszakże to będzie moim obowiązkiem.

— Nie do niego się jednak odwołuję — mówiła dalej Stasia — ale do pańskiej dobroci i grzeczności. Obowiązek zimny to pedant i zawsze go sobie wyobrażam z głową owarowaną sztywnemi kołnierzykami, które się jej w żadną stronę nie dadzą poruszyć. Dobroć zaś i grzeczność czułej prośbie nie umieją się oprzeć, a ja nią tylko przemawiać będę do dawnego naszego sąsiada.

Jakkolwiek słowa te z niezwykłem czuciem były wymówione, nie przypuszczały jednak żadnego dwuznacznego tłomaczenia. Znać było, że je szczebiocze myśląca główka, chciwie pragnąca światła i zaskarbienia pomocy o jakiej dawno marzyła.

Tak też to pojęła i ciotka, a gdy Stanisław słuchając napawał się nieznaną mu dotąd rozkoszą, odezwała się:

— Moja Stasiu, tylko zbytniemi wymaganiami nie zrażaj pana Strońskiego, bo gotów wyrzec się wszystkiego i rzucić naukę, jakiej jeszcze nie rozpoczął.

Stanisław wyszedł z mieszkania pani Kraworskiej oczarowany, zapomniał o wszystkiem tylko o jednej rzeczy pamiętał, że odnalazł uroczą dzieweczkę i został jej nauczycielem. Co z tego wyniknąć może, nic go to nie zajmowało. Przed zobaczeniem się, pokochał ją oczami, teraz ukochał ją duszą całą: przedtem zachwycał się jej urokiem, teraz rozkoszował się przeprowadzoną rozmową, w której zdało mu się, że roztworzyła mu serce z całą szczerotą naiwności młodego swego wieku. A on tak pragnął tego, tak brzydził się obłudą, tak łaknął zwierzeń i wygadania wszystkich skarg, cierpień, pragnień i radości, z jakiemi walczył i przebojem świat przechodził. Zdało mu się, że znalazł to... w Stasi, ale zaraz przyszło mu do myśli... zrobione postanowienie, nic ulegania potędze miłości. Zadrżał, obejrzał się jakby się lękał natrętnego podsłuchu...

— Nie moja wina, szepnął z pognębieniem. Nie szukałem... sama fatalność czy przeznaczenie wciągnęło mnie w to czarodziejskie koło. Czyż moja w tem wina?

Zaraz na drugi dzień rozpoczęły się lekcye, przy których zawsze przytomną była ciotka. Była to osoba z widocznemi śladami dawnej urody, prawdziwie klasycznej, z postawą i poruszeniami zdradzającemi nawyknienia do wyższego towarzystwa. Stasia była do niej bardzo podobna, miała też same rysy, też samą swobodę w poruszeniach, postawę równą obudzającą poszanowanie, ale wyglądała choć przy tak młodocianym wieku, na piękność zupełnie rozwiniętą, której czas nic dodać a wiele ująć może.

Ciotka choć zajęta zawsze jakąś ręczną robótką lub czytaniem, zwracała jednak baczną na nią uwagę, słuchała pilnie całego wykładu i jeżeli dzieweczka zbytecznie rozgadała się, zbyt drobiazgowych dotykając szczegółów, wówczas poruszała się i niezawaczącem chrząknięciem dawała znak, że w badaniach za daleko się posunęła. Panienka natychmiast milkła i znowu stawała się uważną słuchaczką. Widocznie była to umowa naprzód przed rozpoczęciem lekcyi zrobiona.

Lekcye te jednak pod względem prowadzenia ich, nie zadawalniały Stanisława. Przyzwyczajony do systematycznych wykładów szkolnych i uniwersyteckich, pragnął w ten sam sposób przeprowadzić cały kurs historyi i literatury polskiej, ale uczenica jego była tak ciekawą, tak żądną wiadomości, tak zarzucała go pytaniami z głównym przedmiotem mającemi tylko daleki związek, że wszystkie pod tym względem starania Stanisława były daremne i lekcye jego jakkolwiek wielce nauczające, nie były jednak tem, czem pragnął, aby zostały.

Raz zagadnięty o znaczenie arystokracyi, jej wpływ na dzieje świata, początek, rozwój i ścieranie się z zasadami podnoszącej się zewsząd demokracyi, tak się rozgadał, taka się z tego rozwinęła obszerna pogadanka, do której się i ciotka przyłączyła, że zegar wydzwonił godzinę zwiastującą koniec lekcyi a ta dopiero rozpoczętą została. Zaniepokoił się tem i powstając rzekł z żalem:

— Otóż i godzina przeszła, bez żadnego dla pani pożytku.

— Jakto bez pożytku? — zapytała Stasia. — Owszem, przeciwnie, jam się dziś tyle rzeczy dowiedziała o jakich nie miałam najmniejszego pojęcia i musiałabym może wiele lat strawić nad przeczytaniem całych bibliotek, abym powzięła wiadomość o tem czegom się od pana w jednej godzinie nauczyła.

— Bardzo to dla mnie pochlebne — odrzekł Stanisław wpatrując się w uroczą dzieweczkę z całym zapałem młodzieńczego uniesienia—i wdzięczny jestem niezmiernie za to wyznanie, ale pozwoli pani zrobić sobie małą uwagę, że jeżeli w ten sposób odbywać będziemy lekcye, to kursu naszego i w sto lat nie skończymy.

— A cóżto szkodzi! — zawołała Stasia śmiejąc się — to rozpoczniemy drugą setkę i wreszcie dobrniemy do upragnionego końca.

Ciotka poruszyła się i chrząknęła, Stasia przybrała poważną minkę. Stanisław nie zwrócił na to uwagi i w myśl swych pedagogicznych obowiązków, rzekł z uśmiechem żartobliwym:

— Byłoby to cokolwiek za długo i dlatego pragnąc lepiej wniknąć w pragnienie pani co do dalszej nauki, zmuszony jestem zapytać, jaki jest jej cel właściwy? Czy pani pragnie gruntownego wykładu czy tylko pobieżnego, podającego ogólne o dziejach naszych i literaturze wiadomości?

Stasia zarumieniła się i to tak nagle i widocznie że nawet Stanisław to dostrzegł. Zaczęła coś bąkać niewyraźnie, jąkać się, ciotka przyszła jej z pomocą.

— Otóż widzisz — rzekła — coś swoją ciekawością gadatliwą nabroiła. Trzeba ją koniecznie trzymać na wodzy, a pan Stroński najlepiej zrobi, gdy na wybryki jej zważać nie będzie i prowadzić będzie lekcye według własnego uznania.

— Dobrze cioteczko — odezwała się Stasia — poddam się chętnie twej woli i uznaniu pana Strońskiego, ale wymawiam sobie jedno pytanie wśród lekcyi mojego wyboru, nie więcej, tylko jedno, moja cioteczko kochana.

Dzieweczka jak sarenka przyskoczyła do ciotki, zawisła na jej szyi z pieszczotą a ta uśmiechając się odwołała się do postanowienia Stanisława, dodając, że nie ona ale on jedynie kwestyę tę może roztrzygnąć.

— Jeżeli to ode mnie ma jedynie zależyć—odezwał się — to chętnie zgadzam się spełnić życzenie panny Stanisławy, ale także pod warunkiem, że rozjaśnienie zadanego pytania nastąpi po ukończeniu lekcyi.

— Ah! jakiż pan dobry — zawołała Stasia, jakże wdzięczną jestem za tę powolność dla swej naprzykrzonej uczenicy.

Od dnia tego lekcye znacznie przedłużały się, po ukończeniu jej następowała długa zwykle rozmowa, która przeciągałaby się do nieskończoności, tak Stasia ją nowemi zapytaniami podtrzymywała, gdyby nie umówiony znak ciotki, który ją zmuszał niejako do milczenia co znów dla Stanisława było hasłem odejścia.

Cóż się działo z jego sercem?

Stan jego nie był już dlań tajemnicą. Kochał całą duszą i zdało mu się, że i Stasia podziela jego uczucia. Witała go zawsze z buzią jaśniejącą pogodą, z uśmiechem radości, podczas lekcyi, gdy mówił nie spuszczała z niego oczów, pilnie słuchała, zamyślała się często przepraszając za roztargnienie, rozmowę późniejszą nazywała swoją ukochaną pogadanką, a gdy Stanisław zabierał się do odejścia, żegnała go z widocznym żalem, przypominając lekcyą następną, aby o niej nie zapomniał.

Całe to postępowanie nie wychodziło jednak niczem po za granice naiwności młodego dziewczęcia, najpilniejszy i najpodejrzliwszy badacz nie dostrzegłby nic takiego, czegoby nie usprawiedliwił przyjaźnią i powziętym szacunkiem przez dzieweczkę dla młodego nauczyciela. Stanisław jednak nie był zimnym postrzegaczem, kochał z całym zapałem młodej swej duszy i w rozbudzonem uczuciu na wszystko patrzył oczami swego usposobienia, nie umiejąc nawet rozróżnić miłości od przyjaźni, którą pojmował jedynie po męzku.

Gdyby był śmielszego usposobienia, więcej obyty ze światem i ludźmi, możeby natura swobody dziewczęcia, nie uszła jego uwagi, ale Stanisławowi właśnie brakło tego. Wychowany w biedzie, później posługujący w konwikcie Pijarów, następnie w uniwersytecie własnym pozostawiony siłom, cały czas zajęty miał pracą nad nauką siebie i drugich. Świat był dla niego jakby obwarowany, a książka światem z której uczył się dopiero go poznawać. Nie kochał przytem nigdy, miłość była mu zupełnie obcą i to tak dalece nieznaną, że w związku gronka towarzyszów jednej pracy i pragnień, pierwszy był niemal co wniósł zakaz poddania się jej wpływowi.

Czy jednak Stasi zachowanie się tylko z przyjaźni wypływało, czy też z tkliwszego szło uczucia, właściwie trudno było osądzić. Miłość obudza się nieznacznie, niepostrzeżenie, zakrada się, jak ktoś dowcipnie powiedział, jak złodziej, cicho, milczkiem, przez oczy i uszy, wsuwa się do wyobraźni, niepokoi ją, podnosi, rozwija i ot serce zostaje skradzione. Nim jednak strata jego nastąpi, okradany nie wie nawet co go czego za szkodą.

Stasia była młodą, zaledwie szesnastoletnią dzieweczką, z loczkami dziecinnemi i w krótkiej sukieneczce. Nie kochała jeszcze, bo za mało przeżyła czasu, aby serce jej zapragnęło miłości. Mogła więc pokochać Stanisława nie wiedząc nawet o tem. Naiwność, swoboda w postępowaniu mogły być zupełnie naturalnemi, a przyjaźń, życzliwość poprzedniczką miłości. Zwykły to porządek w sercach niezbrukanych światem, oboje posiadali takie, Stanisław wbrew wszystkiemu pokochał już, ona mogła pokochać.

Miłość ta możeby się silnie rozwinęła, ale ciotka była zawsze przy lekcyi i sztrzegła pilnie, aby nigdy sami nie pozostali. Stanisław z początku na tę straż czujną nie zwracał uwagi, dość było dla niego, że znajdował się w towarzystwie uroczego dziewczęcia, że wpatrywał się w jej oczy, słuchał jej głosu dźwięcznego. I czegóż mu więcej było potrzeba? Miłość serc niewinnych nie jest wymagającą.

Później zapragnął więcej, chciał z uczuciem swojem wygadać się, wyrazić swoją radość z posiadania go, ale przyszła rozwaga, wierność danemu przyrzeczeniu w chwili bardzo uroczystej. I pragnienie to przydusił w sobie kleszczami silnej woli.

Szły więc lekcye i pogadanki tak jak się rozpoczęły i jak tylko nauka się skończyła, pani Kraworska przechodziła do altany ogrodowej i tam piła kawę ze Stanisławem i Stasią ciągle szczebiocącą.

Raz kiedy tak w ogrodzie zajęci byli rozmową, na podwórze wszedł jakiś mężczyzna z miną lisa, gdy skrada się do kurnika, a lęka się, aby go nie spłoszono. Szedł cicho i ostrożnie, nawet nie zbudził psa w cieniu przy budzie leżącego. Stanąwszy w sieni spojrzał na ogród, wlepił oczy w altankę, w której ożywiona prowadziła się rozmowa, i dość długo wpatrywszy się, przychylając się to w prawo, to w lewo, zawsze jednak za drzwiami ukryty, szepnął do siebie:

— Tak, to oni, ptaszki znalazły się a sądziły, że starego wróbla złapią na plewy. Ale kto tam jest z niemi trzeci?

(D. c. n.)

POGADANKA.

Dobrze, że się już marzec skończył. Nieznośny to miesiąc! Nie dość, że jak dumny dorobkiewicz brelokami, ozdobił się, na złość swoim kalendarzowym sąsiadom, aż pięcioma niedzielami, jeszcze mi ciągle płatał figle z pogodą.

Co dnia coś nowego. To deszcz, to pogoda, to znowu mrozy trzaskające. Napisałem długą rozprawę o mrozach wiosennych i byłem rad z tego, lecz nagle zmieniło się wszystko do niepoznania, słońce zajaśniało w całym wiosennym blasku i śmiało się ze mnie do rozpuku.

I jakże tu pisać o pogodzie? A przecież wiadomo, że najwygodniejszym początkiem rozmowy jest pogoda. Może mi się w kwietniu lepiej powiedzie.

Chcąc sobie pod tym względem zapewnić przyszłość udaję się z prośbą o protekcyą do moich Czytelniczek, bo wierzę silnie w to, co Krasicki powiedział:

„Mimo wszystkie płci naszej zalety,
My rządzim światem, a nami — kobiety."

Czemże więc my jesteśmy?

Lecz mniejsza o to! Jeśli dziś proszę o protekcyą w sprawie pogody i moich z nią kłopotów, to czynię to na zasadzie twierdzenia D-ra Bondina, opartego na statystyce, który obliczył, że na *sto* wypadków porażenia piorunem, wypada tylko *dwadzieścia siedm* na kobietę. Dowód to oczywisty, że panie mają i tam u góry jakieś lepsze od nas względy i że gromy umieją do pewnego stopnia być dla nich z uszanowaniem.

A może emancypantki chciałyby i na tem polu równouprawnienia?!

Na ucho powiem rzecz dla pań arcyważną. Wypadałoby się nad nią zastanowić dokładniej i obmyśléć na przyszłość nieomylne środki zaradcze.

Tegoroczna kwesta wielkanocna w kościołach warszawskich nie powiodła się tak, jak to w latach poprzednich bywało. W roku np. ubiegłym zebrano *trzynaście tysięcy* rubli, tegoroczna cyfra nie jest jeszcze dokładnie oznaczona, lecz z pewnością nie sięga tak wysoko. A jednak tyle było pieknych kwestarek!

Cóż więc za przyczyna?

Miałżeby ród męzki emancypować się, miałożby serce mężczyzn zamykać się na klucz obojętności, gdy o miłosierdziu mówią piękne oczy kwestarek?

Toby było zbyt buntowniczo i postępowo. Czyż nie lepszy konserwatyzm, uczący nieodmawiania nigdy prośbom tych różnobarwnych okienek duszy, które oczami nazywamy.

Mniej ode mnie podejrzliwi, a nie posądzający mężczyzn o brak miłości bliźniego, twierdzą, że jedynym winowajcą był tym razem — mróz dwunastostopniowy. Ziębił serca litościwe i straszył odmrożeniem uszu.

A więc i tu winna niestałość pogody marcowej!

Wniosek ztąd prosty, że panie powinny energicznie wystąpić przeciwko wszelkiej niestałości. .

Sądzę, że projekt mój będzie przychylnie przyjęty, a może mi się nawet w udziale dostanie odrobina wdzięczności...

Warszawa po świętach nie odpoczywa, przeciwnie, odznacza się wielką ruchliwością. Teatra, koncerta, wystawy sztuk pięknych, odczyty są bardzo odwiedzane. Piękne z pożytecznem zespala się, splata, międza i rodzi się życie, którego w Warszawie chyba nigdy nie brak. A jacy tu ludzie odważni! Nie przerazili się np. wiadomością, iż do Warszawy przybyli Piraci, owszem, wiadomość ta wywołała prawdziwą radość. Każdy spieszył, aby ich zobaczyć.

Widok Piratów nikomu nie wydawał się strasznym, każdy patrząc na nich wołał: jacy piękni — albo raczej: jaki piękny, bo muszę wreszcie wyjawić tajemnicę, że ci Piraci patrzą jak żywi, ale tylko z ram obrazu Siemiradzkiego. Kto może widzieć to piękne płótno, niech spieszy — innym radzibyśmy choć w części nagrodzić niemożność oglądania „Piratów" opisem ile możności dokładnym.

Najpopularniejszym dziś obrazem, jest bezwątpienia wizerunek Sobieskiego. W najrozmaitszych pozach malują i rysują tego bohatera Wiktoryi wiedeńskiej. Wszędzie tych wizerunków pełno. Zegarmistrz genewski, rodak nasz Gostkowski wpadł na dobry pomysł zdobienia zegarków kieszonkowych obrazem Sobieskiego. Kilka okazów tej bardzo pięknej roboty, znajduje się już w Warszawie. Że amatorów znajdą to pewna.

Wydawnictwa też przepełnione są Sobieskim. Coraz to nowa praca pojawia się w naszej literaturze. O ile one są wartościowe oceni krytyka, my tylko musimy zwrócić uwagę na spekulacyjne piśmidła, jakimi pewna wiedeńska firma księgarska zasypuje i polskich czytelników. Pomiędzy innemi powieściami znajduje się i o Sobieskim, pełna niesłychanych dziwolągów, od których czytelnikowi włosy stają na głowie. A nasze księgarnie nb. niektóre tylko — nie wahają się dla zysku kolportować tej książki, na której ocenę nie mielibyśmy słów potępienia. Że taki Benzinger, który dotąd ani jednej poczciwej książki nie wydał, chce robić dobry interes nawet u nas, to nic dziwnego, ale księgarze warszawscy mogliby odmówić tym razem pomocy swemu koledze. Dobrze, że u nas takich nie wielu.

Czesi zwrócili już uwagę na wydawnictwa podobnych lichot powieściowych. Powstają tam towarzystwa, które złe książki mieniają na dobre, a tamte palą! wydawca wprawdzie zyskuje na ra-

zie, lecz z czasem niezawodnie straci, bo nikt tych piśmideł nie będzie kupował.

Gdybym miał bliższe stosunki z panem Faberem...

Zapytacie: kto jest pan Faber?

Jest to syn ojca, który chciał się wielce ludzkości przysłużyć i wynalazł *maszynę gadającą!* Wynalazek ciekawy, chociaż nikt nie umie odpowiedzieć na co by się mógł ludzkości przydać. Automat Fabera *gada* czterema językami — a jak doniosły warszawskie pisma: *mówi*. Naturalnie, że słownik tej maszyny nie obfity jeszcze, lecz wynalazca sądzi, że to tylko początek, że kiedyś będziemy mieli automaty zdolne do całogodzinnych prelekcyi. Może!

Otóż pan Faber syn, przybył z ową maszyną do Warszawy i ma zamiar ukazać ją publicznie na podziw ciekawych. Co do mnie, to stanowczo będę przeczył pożyteczności tego automatu, dopóki pan Faber nie zgodzi się na mój projekt, t. j. jeśli nie wyuczy swej maszyny głosić: „Szanowni widzowie i słuchacze, nie kupujcie wydawnictw Zygmunta Bensingera, bo nie tylko, że się niczego nie nauczycie, ale stracicie rozum i staniecie się gorszymi od bezmyślnego automatu..."

Automat, zwyczajnie jak maszyna, popsuje się i stanie się bezczynnym, bezużytecznym, ale człowiek popsuty staje się czynniejszy i sieje kąkol — nie zawsze padający na opokę!

Dobre ziarno jednak z plonem choć zwleka nie marnieje przecie. Oto już piąta spółka rolnicza się zawiązuje. Istnieją już w powiatach: hrubieszowskim, pułtuskim, płockim i miechowskim, obecnie powstaje w lubelskim.

O potrzebie tych spółek mówiliśmy już niejednokrotnie, widocznie pomysł, choć nie dzisiejszy trafia do przekonania ogółu. W miarę, jak się daje czuć potrzeba podnoszenia dobrobytu, coraz gorliwiej krzątają się około tego dzieła jednostki i stowarzyszenia.

Wielu ekonomistów uznaje pożyteczność parcelacyi większych posiadłości, a i ta myśl znajduje zwolenników. W ostatnich czasach dokonano lub zamierzono w kraju kilka znaczniejszych parcelacyi.

Zakładanie po wsiach gospód chrześciańskich, którym los nierówno sprzyjał, nie ustaje. Do dawnych przybywają nowe, którym należy życzyć pomyślnego rozwoju. Tylko gorliwego zajęcia się niemi potrzeba. To dziecko koniecznie wymaga starannej opieki, byleby mu umyślnie nogi nie podstawiano.

Starsi ludzie i starsze instytucye dadzą sobie radę same — młode pokolenie potrzebuje wielkich a nieustannych zabiegów i troskliwości.

Es. Zet.

Przegląd Teatralny.

Tancerka, fantazya sceniczna, przez *Kazimierza Kaszewskiego*.

Gałązka heliotropu, komedya w 1-ym akcie przez *Ely...ego* (*Asnyka*).

Jubileusz Adolfa Ostrowskiego.

Sobotnie i niedzielne przedstawienia w Teatrze Rozmaitości miały charakter bardziej uroczysty niż zwykle. Stało się to z powodu nowej sztuki wyszłej z pod pióra zasłużonego i wytrawnego pisarza, p. Kazimierza Kaszewskiego: wznowienia, a Bóg wie dlaczego przez długi czas zapomnianej ślicznej jednoaktówki Ely...ego i publicznego uczczenia ćwierć wiekowej służby ulubionego artysty, p. Adolfa Ostrowskiego, którą właśnie w dniu tym 1 Kwietnia ukończył.

„Tancerka", fantazya sceniczna wierszem, jest to przeróbka czy też tłomaczenie kilku scen z włoskiego dramatu Pietra Cossa „Nero", przedstawiająca jeden epizod z codziennego życia patrycyuszów rzymskich, z czasów najrozpustniejszego i najokrutniejszego z Cezarów, a może też i jego samego. Główna osobistość w sztuce Lucius Domitius, bogaty patrycyusz i miłośnik sztuk pięknych, nosi imię samego Nerona, na podobieństwo jego jest ucharakteryzowany i nawet Aktea jest historyczną postacyą, nie wiemy zatem do czego ta maska. Młoda niewolnica grecka, Ekloga, cyrkowa tancerka, zjawia się w pałacu Luciusa, który na widok dziecięcej prawie naiwności i młodocianych jej wdzięków, rozpłomienia się zwierzęcą żądzą i hojny w chwilowych porywach, obdarza ją wolnością, która uszczęśliwia młodą dziewczynę tęskniącą do zielonych gajów Olympu, do swej poetycznej, słonecznej Hellady. Lecz i na czystą dziewicę grecką bezwiednie podziałała rozpusta z Rzymu. I jej się zachciewa umoczyć usta w czarze rozkoszy, nie opiera się więc, gdy Lucius na ucztę ją wzywa, nawet pomimo ostrzeżeń i groźb Aktei, ulubienicy Luciusa i wszechwładnej pani w jego domu. Odbywa się uczta na której cynik Menecrates i filozof Rufus rej wodzą, a Aktea zazdrośnym i gniewnym wzrokiem patrzy na rodzącą się miłość Luciusa dla młodej Greczynki. Rufus wypowiada piękną odę Horacyusza, a rozpłomieniony Lucius hymn do Wenery przy dźwięku cytry. Lecz trucizna z rozkazu Aktei skrycie podana Eklodze, zaczyna działać, biedne dziecko wyrywa się z objęć Luciusa i pada martwe u stóp cynika Menecratesa, który śmieje się na ten widok i cieszy się, że uczta niezwykłe ma zakończenie. Gniew Luciusa wybucha wściekle, sam mówi: „że ziemia zatrzęsie się pod jego nogami", lecz w jednej chwili gaśnie i już zapomina o biednej greckiej dziewicy, rozkazując usłużnemu niewolnikowi by mu poszukał inne podobne cacko. Utwór ten jest wybornem odtworzeniem tego moralnego upadku, zepsucia i zmateryalizowania, w jakiem ówczesny Rzym był pogrążony i co tak wiele się przyczyniło do jego szybkiego upadku. Na tem wstrętnem tle niezmiernie poetycznie odbija postać niewinna, dziecięca prawie, biednej niewolnicy, ulicznej tancerki, uroczej córki zdeptanej przez Rzym Grecyi.

Artyści nasi wybornie się wywiązali z trudnych ról swoich, nie łatwe to zadanie odtwarzać takie postacie. Panna Wiśnowska z wielkim talentem, z wielką miarą i głębokiem zrozumieniem odtworzyła śliczną postać Eklogi, chwilami naiwną i poetyczną, chwilami pełną powstrzymywanego zapału. P. Kotarbiński w roli Luciusa, był znakomitym pod każdym względem, zdaje się iż najwybredniejszy krytyk nie miałby nic do zarzucenia tak co do dykcyi i mimiki, jak nawet i co do zewnętrznej charakterystyki tej dziejowej postaci, która cały Rzym ówczesny uosabia. P. Waliszewski z roli cynika Menecratesa wybornie się wywiązał. Jest to artysta który od niedawna występując na scenie Teatru Rozmaitości, grą inteligentnie obmyślaną zwraca na siebie uwagę. P. Rakiewiczowa jako Aktea, niewielkiej swej roli umiała nadać odpowiedni charakter i zająć słuchaczy. Wystawa i kostiumy były staranne, wyjąwszy różanych wieńców przy uczcie, tak szkaradnie czerwonych, że aż raziły i złotego dyademu na głowie Luciusa.

„Gałązka Heliotropu" prawdziwy klejnocik dramatyczny, prześlicznym wierszem napisany, przez wszystkich udział biorących w nich artystów, starannie był odegrany. Treść tej komedyjki bardzo zwyczajna i wcale nie skomplikowana, lecz z jakimże wdziękiem przeprowadzona. Dwóch młodych ludzi ubiega się o rękę posażnej panny. Pierwszy szczerze zakochany, drugi goniący za posagiem i tego protegują krewni i opiekunowie panny, pierwszego niewyraźna jeszcze skłonność jej serca i on otrzymuje jej rękę. Role które przypadły pannie Czaki i panu Tatarkiewiczowi, były oddane z taką prawdą, z takiem uczuciem a zarazem z taką naturalnością, szczególnie w miejscach patetycznych, np. w scenie oświadczenia, że tylko obojgu powinszować można takiego artyzmu.

Sądzimy, że dla miłośników sceny naszej nie będzie obojętnem opis uroczystości jaka się odbyła w niedzielę, na uczczenie dwudziesto-pięcio letniego jubileuszu zasłużonego i powszechnie lubionego a wysoce cenionego artysty: p. Adolfa Ostrowskiego. Naprzód w samo południe grono kolegów jubilata zebrało się na scenie Teatru Rozmaitości. Za ukazaniem się jego, wystąpił Królikowski i w imieniu wszystkich uczcił go stosownem przemówieniem, wynosząc talent jego i pracę sceniczną, a najwięcej przyjaźń, którą między kolegami postępowaniem swojem zacnem pozyskać umiał. W dowód tego uznania wręczając jako pamiątkę od kolegów: wieniec srebrny z odpowiednim napisem i pierścień brylantowy, p. Rapacki odczytał następujące strofy:

Śmiech, to miecz ostry, którym surowo
Karcą się ludzkie błędy i złości,
A kędy echo jego zagości,
Tam głupstwo staje z odkrytą głową,
I tracąc siły w krwawej szermierce,
Czuje jak pocisk godzi mu w serce.

Śmiech, to pociecha, gdy na bezdroże,
Rzucone losy jeżem się kładną,
Gdy w ciężkiej walce upaść jest snadno,
Jeszcze nie upadł, kto śmiać się może,
Jeżeli tylko wiernie a szczerze,
Śmiech z czystych źródeł początek bierze.

Śmiech to potęga, ziemskie półbogi,
Panują ludom w promiennej zorzy,
Gdy im się wszystko usuwa z drugi,
Gdy świat się cały przed nimi korzy,
Śmiech utajony wybucha zdradnie,
I cała wielkość ta w proch upadnie.

Śmiech to lek dzielny, gdy dola sroga,
Nad ludzką nędzą ciąży ołowiem,
Gdy każda inna zaparta, droga,
Śmiech pozostaje — a śmiech jest zdrowiem,
Bo jako gwiazda rzucona na tło
Nocy — przez chwilę da ujrzeć światło.

O mistrzu śmiechu! w złej czy dobrej doli,
Ćwierć wieku całe z tobąśmy przeżyli,
Tyś nas nauczał, że od ludzkiej woli
Zależy, w każdej siłę czerpiąc chwili,
Wytrwać. Więc cześć ci! Byłeś nam albowiem
Mieczem, pociechą, potęgą i zdrowiem.

Publiczność też chciała z kolei choć w małej części podziękować artyście, który tyle razy do

serdecznego pobudzał ją śmiechu i uczcić dwudziesto-pięcio-letnią pracę; to też na przedstawieniu wieczornem powitała Jubilata grzmiącemi i długo trwającemi oklaskami. Po pierwszej sztuce wręczono mu przy nieustających oklaskach bukiet wspaniały i dwa wieńce, oraz piękne album „od Warszawian". Po zakończeniu zaś widowiska oklaskiwania jeszcze były bardziej entuzyastyczne, wieńce i bukiety zewsząd się sypały. Zaiste, godna to chwila istotnej zasługi, widzieć jak się jest cenionym i kochanym.

Nadmieniam jeszcze, że owe album pamiątkowe jest wcale oryginalne i na wyłączną wzmiankę zasługuje. Składa je tylko sześć akwarel humorystycznych pięknie wykonanych przez Mucharskiego, odpowiadających a raczej illustrujących różne wartościowe papiery na odwrotnej stronie karty umieszczone: list kredytowy ziemski, takiż miejski, pożyczka premiowa, list likwidacyjny, i t. p. a wszystko na niebrzydką sumę 2,630 rubli. Sumka ta pochodzi z dobrowolnej składki zebranej między wielbicielami talentu Jubilata.

Hieronim Kuczalski.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 kwietnia 1883 r.

Sprawozdanie dzisiejsze poświęcamy głównie kapeluszom i okrywkom, zakupionym na model, przez obecne tu panie Kuhnke. Zaczynamy od uwag ogólnych nad modą tegoroczną.

Kapelusze wiązane pod brodę, mają po większej części formę kapotek, z główką okrągłą z rondkiem niewielkiem, ogarnirowanem w fałdy. Garnirunek ten bywa rozmaity, z koronki czarnej, białej lub złotej, często nawet ze słomki plecionej. Na strojne kapotki, przyjęta krepa, nadzwyczaj lekka. Skromniejsze robią ze słomy w rozmaitych kolorach: morderowym, myrtowym, szafirowym (*bleu electrique*) niewarowym, wydrowym, ciemno brązowym. Widać także i białe, to jest w naturalnym kolorze słomy, ale tych liczba mniejsza.

Do większego ubrania przyjęte również czarne koronkowe przerabiane złotem, lub też całe ze złotej gazy, pokryte lekkim garnirunkiem z czarnej blądyny hiszpańskiej. Te zdobią najczęściej bukietem ze złotego ostu. Kwiaty i wstążki do ubrania kapeluszy najmodniejsze w kolorze poziomkowym, niezbyt jaskrawym, jak zgnieciona poziomka, odcień ten zowią *fraise écrasée.* Narcyzy w tym kolorze, szczególnie używane.

Okrągłe kapelusze odznaczają się rozmaitością, tak co do rozmiarów jak i formy. Są między niemi wielkie z rondem odwiniętem na boku, te ubierają zwykle pękiem piór strusich. Inne znów, mają rondo równe, zupełnie płaskie, lub w koło na cal jeden odwinięte u brzegu. Noszą zarówno toczki i amazonki odwinięte po obu stronach.

W ubraniu tych kapelusików panuje także rozmaitość: zdobią je egretką, skrzydełkiem, pęczkiem piór i t. p. Wiele z nich opasują szarfą gazową w deseń, albo w algerskie pasy.

Dajemy teraz szczegółowy opis, ślicznych kapeluszów pań Kuhnke.

Pierwsza kapotka, strojna, cała naszyta blądyną czarną na złotej gazie. Nad czołem, garnirunek z blądyny przerabianej złotem. Z lewego boku wielki bukiet ze złotych ostów, listki u nich przyżółkłe, *feuilles mortes.* Szarfy blądynowe.

Druga kapotka z krepy *caroubier.* Rondko całe nagarnirowane ruszką z takiejże gazy, z obu stron ruszki, blądyna *caroubier*, lekko namarszczona. Powyżej draperya z krepy, z boku pęczek piór strusich w jaśniejszym odcieniu. Główka z obu stron przepięta wielką podwójną szpilką szyldkretową. Szarfy z wązkiej na cal atłasowej wstążeczki, danej podwójnie.

Trzecia kapotka słomkowa, w kolorze niewarowym *Beige*, podbita aksamitem poziomkowym. Na rondku naszyta dwa razy koronka perska w różnobarwny deseń. Powyżej kokarda ze wstążki poziomkowej, z boku wielki bukiet z maczków w rozmaitych odcieniach.

Czwarty kapelusz ze słomki w naturalnym kolorze, główka średniej wielkości; rondko wgięte nad czołem *à la Marie Stuart*, podszyte aksamitem *caroubier.* Na wierzchu ronda, wygarnirowana koronka biała, od niej spadają szarfy koronkowe, przytwierdzone po bokach szpilkami szyldkretowemi. Z lewego boku pęczek białych piór strusich.

Piąta kapotka słomkowa w kolorze brązowym. Rondko odwinięte i przyfałdowane, a na tym fałdzie kokarda z aksamitki tegoż koloru w dwóch odcieniach. Z boku bukiet z narcyzów koloru poziomkowego.

Szósta kapotka słomkowa w kolorze morderowym, rondo szpiczaste podniesione w górę, ten rodzaj kapotek zowią *au vent pointu.* Pod rondem podszyty aksamit morderowy i koronka biała rzęsisto nagarnirowana. Na wierzchu wielka rozeta z wązkiej wstążeczki atłasowej w różnych odcieniach morderowych. Po bokach wpięte szpilki bursztynowe bardzo jasne. Końce do wiązania z podwójnej wstążeczki.

Przejdźmy teraz do okrągłych kapeluszy. Najokazalszy z nich czarny, z bardzo cienkiej słomki brukselskiej, z magazynu pani Raibeau. Główka stożkowata, rondo wielkie odwinięte z boku, podbite aksamitem czarnym. Z wierzchu ku prawej stronie, przeciągnięta rusza koronkowa, zakończona w tyle kokardą z aksamitki, z lewej strony pęk czarnych piór strusich.

Drugi kapelusz podobny formą, ze słomy koloru niewarowego, podbity aksamitem rozmarynowym. Z przodu nad rondem węzeł z aksamitu, z tyłu takiż sam węzeł, końce od niego podwinięte pod rondo. Z jednej strony pęk piór rozmarynowych, z drugiej garnirunek ze słomki, podszyty aksamitem.

Trzeci słomkowy, koloru wydrowego, główka szeroka, średniej wysokości, rondo płaskie, równe do koła, podbite aksamitem *caroubier.* Między rondem a główką, wielka rozeta ze wstążki wydrowej i aksamitki *caroubier*, przepięta pączkami róży pąsowej.

Czwarty kapelusz słomkowy ciemno szafirowy, główka średnia, rondo u brzegu odwinięte w górę na cal, podbite aksamitem. Nad rondem rozeta z wstążeczki atłasowej w tymże samym kolorze, ogarnirowana rzęsisto białą koronką, przepięta w środku broszą szyldkretową. W tyle rozeta ze wstążki.

Piąty oliwkowy słomkowy, podszyty aksamitem tegoż koloru, opasany takimże aksamitem. Na wierzchu wielka rozeta z aksamitki koloru *mais* z boku wpięte skrzydełko białe.

Szósty toczek ze słomki czarnej. Odwinięte rondo, naszyte aksamitem koloru poziomkowego. Na tym rondzie kokarda alzacka z takiegoż aksamitu w dwóch odcieniach, od niej przeciągnięte dwa końce jaśniejsze, zachodzą do tyłu główki, tam puszczone przez otwór ronda, spadają dość długo na warkocz.

Okrywki wszystkie z rękawami do łokcia, mają formę *wizytek.* Rozmaitość w nich zależy głównie od materyału z jakiego zrobione. Najstrojniejsze z nowej tkaniny przezroczystej w kwiaty lub liście aksamitne, ogarnirowane blądyną hiszpańską i pasmanteryą z dżetem. Strojnie też wyglądają wizytki z sycylianki, ogarnirowane blądyną lub gipurą. Na ulicę najwłaściwsze z kaszmiru indyjskiego lub innej tkaniny wełnianej.

W modelach pań Kuhnke, uważaliśmy ładne mantylki z sycylianki, w rodzaju szalików, właściwe dla młodych panien, obszyte są zwykle frendzlą albo koronką.

Zwróciły też uwagę naszą, długie okrywki wełniane, zwane *pelisse.* Jedne z nich przymarszczane są w tyle, inne mają wpuszczone fałdy. Rękawy u nich do łokcia, szeroko spadające ogarnirowane kilka razy koronką. U dołu nie ma garnirunku, z przodu za to idzie rzęsisty żabot z odwracanej koronki.

Powiedzmy słówko o kołnierzykach i krawatkach.

Śliczny między innemi, kołnierzyk z koronki odwróconej na dół, na wstążce blado niebieskiej, z pod tego spada drugi rząd plisowanej koronki. Z przodu idą dwa wachlarzyki z koronki, każdy z nich przytwierdzony w górze kokardą błękitną. Do tego odpowiednie mankiety na wstążce, przybrane kokardami.

Drugi kołnierzyk. W koło szyi przechodzi wstążka blado różowa, powleczona koronką, związana w tyle na kokardę. Z przodu spada wielki puff z koronki, końce od niego sięgają niżej paska.

Trzeci kołnierzyk *col cravatte.* W koło szyi wązka wstążka koronkowa, z przodu szeroki żabot z koronki, odwraca się tylko na jedną stronę, przez środek stanika idzie rzędem pięć kokardek, przytwierdzając żabot w odstępach.

Czepeczki dla starszych cokolwiek osób zasługują również na wzmiankę. Uważaliśmy między niemi, piękny fanszon czarny koronkowy, nagarnirowany nad czołem *en diademe.* Z boku wpięte były dwa wielkie bratki jasno miedzianego koloru.

Inny fanszon spuszczony długo na warkocz, miał nad czołem rozetę z dżetu, z boku różę atłasową w kolorze złotym *viel or.*

Zalecamy też śliczne negliżyki z gazy indyjskiej w rozmaitych fasonach, tak dla starszych osób, jak i dla młodych mężatek, przybrane pufkami z wązkiej wstążeczki, w kolorach blado różowym, poziomkowym *mais* i blado niebieskim.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Czytamy w „Echu" Nr 71.

Teofil Lenartowicz w jednym z listów swoich dawniej przesłanych z Italii opisał ceremonię odprawianą corocznie w Rzymie na pamiątkę zwycięztwa Jana III pod Wiedniem. Dołączył też

hymn ułożony na wzór znanego powszechnie „Te Deum”, znaleziony przed dwudziestu kilku laty w Archiwum Kongregacyi. Jak uroczystość, tak hymn ten służą za dowód doniosłości wiekopomnego zdarzenia, którego dwóchsetletnią rocznicę wkrótce obchodzić mamy. Są razem odpowiedzią tym, którzy jego ważność zmiejszyć usiłując, starają się przez to samo przewagę zwycięztwa na stronę Niemców przechylić.

W Rzymie corocznie dnia 13 września, po odbytem nabożeństwie w kościele pod wezwaniem imienia Maryi, wychodzi procesya z wielką chorągwią, przechodzi przez wzgórze Kwirynału i ulicę, przy której jest pochowany św. Stanisław Kostka. Chorągiew ta ozdobiona jest dwoma obrazami. Na jednym św. Michał, na drugim Najświętsza Panna. Jan Sobieski w purpurowym płaszczu, pancerzu i wawrzynach na skroni, ugina kolana przed cudownem zjawiskiem, a Papież Innocenty IX, pokazuje królowi oblężony przez Turków Wiedeń.

Hymn wzmiankowany tak brzmi w polskim przekładzie:

Ciebie Polaka chwalimy!
Ciebie mężnym uznawamy,
Tobie Bożemu Rycerzowi
Cały Rzym cześć oddawa,
Tobie wszyscy Chrystusowi wierni,
Tobie Wenecya i Italskie mocarstwa,
Tobie Papież i Cesarz nieustającym głosem [śpiewają:
Dzielny, dzielny, dzielny Król polski!
Pełna jest ziemia i Kościół
Wielkości i męztwa Twego.
Ciebie Chór Elektorów Cesarstwa,
Ciebie chwalebny poczet bojowników,
Ciebie kościelne wojsko wysławia!
Ciebie po wszystkim świecie
Obrońcą wiary święty Kościół uznaje!

*** Pan F. N. z Rypińskiego pisze do „Korespondenta Płockiego”:

Za powtórnem przybyciem do Ameryki, mając zamiar osiedlić się tam wśród kochającej go ludności, Kościuszko obrał sobie miejscowość w malowniczej okolicy nad rzeką, w pobliżu twierdzy West-Point, której dawniej był komendantem. Później miejscowość tę mieszkańcy nazwali „Kościuszkos-Garten”.

Kościuszko lubił namiętnie muzykę i grywał na skrzypcach i na gitarze; mawiał on że nauka muzyki jestto szkoła ucząca nas przemawiać do serca i ucha dyalektem przez wszystkich zrozumianym, że otwiera nam tajniki do jednego z najmilszych ideałów sztuk pięknych, jest zdolną natchnąć człowieka wzniosłemi uczuciami i wykształcić gust jego, osłania nieraz kwiatami ciernistą drogę życia, a zawsze serce miłem rozgrzewa uczuciem.

*** Etna, od tak dawna uważana za wulkan już wygasły, od kilku tygodni przedstawia widok wspaniały ale zarazem przejmujący grozą. Szczególniej w nocy cudnie odbija od ciemnego tła firmamentu wspaniały snop ognisty, 12 metrów wysoki. Z krateru bucha popiół, rozpalone kamienie i lawa rozlewająca się długim strumieniem, a huk rozlegający się przy ostatnich wybuchach daje się słyszeć aż na odległość mil kilku. Trwoga i przerażenie ogarniają mieszkańców.

*** Pisma francuzkie zawiadomiły, że na pomniku przeznaczonym dla uczczenia pamięci zmarłego jenerała Chanzy, zamieszczone mają być wyrzeczone kiedyś przez niego słowa: „Kto pragnie buławy marszałkowskiej, niech jej poszuka z tamtej strony Renu”. Dzienniki berlińskie z największem oburzeniem powstają przeciw temu zamiarowi, dopatrując się w nim chęci zakłócenia spokoju europejskiego. To zamiłowanie spokoju w Niemczech przypomina słowa Börnego: „Spokoju—wołają oni — spokoju!... tego pragnie każdy pies, żeby mógł bez przeszkody obgryzać skradzione gnaty!”

*** Dnia 28 z. m. przypadał czterechsetny jubileusz Rafaela, który tak w rodzinnem jego mieście Urbino jako też w Rzymie, gdzie najznakomitsze pozostawił dzieła i gdzie spoczywają jego prochy, obchodzony był świetnie. Oto program uroczystości:

Rano dnia tego przez ulice starej Romy przeciągnął pochód w którym uczestniczyły wszystkie artystyczne zakłady i stowarzyszenia, wyruszając z Kapitolu ku Panteonowi, gdzie poniosły popiersie wielkiego mistrza, odlane przez snycerza Nolle'go podług oryginału stojącego niegdyś nad grobem Rafaela. Po zaniesieniu popiersia do Panteonu, rozpoczął się o godzinie 2-ej popołudniu obchód pamiątkowej uroczystości, urządzony przez Akademię malarską św. Łukasza, w ogromnej sali Horacyuszów i Kuracyuszów w pałacu na Kapitolu. Sekretarz tejże Akademii, p. Quirino Leoni, wypowiedział mowę o Rafaelu a następnie Akademia filharmoniczna rzymska wykonała hymn umyślnie ułożony przez maestra Falchi'ego. Wieczorem Transtewere czyli zatybrzańska dzielnica Rzymu wspaniale była oświetlona, a szczególniej ulica Santa Dorota przy Porta Settiniana, gdzie stoi jeszcze starodawny dom słynnej Fornariny. Na zewnętrznej ścianie poczerniałej kamienicy umieszczone były portrety wielkiego mistrza i pięknej jego kochanki, otoczone laurowemi wieńcami i prześlicznie oświetlone. Wieczorem wystawiono żywe obrazy w teatrze Costanze, podług kilku znajdujących się w Watykanie fresków Rafaela; dochód z tego widowiska stanowić ma pierwszy fundusz na pomnik dla nieśmiertelnego mistrza, mający zostać wzniesionym na jednym z placów wiecznego miasta, gdyż, rzecz niepojęta—genialny Rafael nie ma tam jeszcze pomnika — a przecież ileż to mierności uczczono nimi przez te setki lat jakie od śmierci jego upłynęły.

*** W Meksykańskiej wiosce Mitla, leżącej o 20 mil od miasta Oajca, na równinie Mixtecopan, dokonano w ostatnich czasach bardzo ciekawych i ważnych odkryć archeologicznych. Odkopano liczne szczątki starożytnych pałaców i grobowców nader szczególnego stylu. Ruiny te zbadał i odfotografował uczony niemiecki Emil Harburger, lecz skutkiem zakazu rządu meksykańskiego, musiał zaprzestać dalszych w tej miejscowości poszukiwań. Opisując ruiny mitlańskie, p. Harbur podaje, iż między innemi odkryto wielką hallę mającą 37 metrów długości a 7 szerokości, w której przechowało się sześć kolumn 3 i pół metra wysokich, wykonanych z ciosowego kamienia. Zdaniem uczonego niemieckiego, ta halla o trzech wejściach, był to rodzaj przedsionka w pałacu królewskim, w którym przebywała straż przyboczna. Wszystkie odkryte grobowce są jednego wymiaru i w kształcie litery T. Ściany ozdobione są mozajkami. Sklepiona posadzka znajduje się zaledwie na metr głębokości pod powierzchnią ziemi, u wejścia do monzoleum, stoi kolumna monolitowa.

W braku innego schronienia, p. Harburger wraz ze swą drużyną, sypiał czas jakiś w owych prastarych grobowcach, ale następnie Indyanie nie chcieli tam nocować, powiadając że duchy chodzą po nocach i spać im nie dają.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aldonie Z w Ulaszowiczach. Początek powieści wysłano, Tygodnik nie może być w innych warunkach prenumerowany tylko w takich jakich wychodzi.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Марта 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 14, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

XVII

Gdy Eliana tegoż samego dnia wieczorem znalazła się sama w wielkim i pustym pałacu, i przebiegła myślą dni upłynione, trudno jej było uwierzyć że składały tylko jeden miesiąc.

Ciągłe i różnorodne zajęcia nie dozwalały jej dotąd zajmować się sobą i nie pozostawiały czasu do rozmyślań. Spełniła już swe posłannictwo w Erlon jak niemniej i to które przyłączyło się do niego niespodzianie, a jednak nie czuła tego spokojnego zadowolnienia jakie przynosi wywiązanie się z obowiązku. Nie tylko że zamierzała spełnić zadanie bez porównania trudniejsze nad to które już spełniła, ale nieprzewidziane okoliczności których nie umiała sobie wytłómaczyć, stały się dla niej powodem nowych trosk i kłopotów.

Jakimś niepojętym dla niej sposobem Hersylia odgadła nagle przeszłość, i w uczuciach jej zaszła natychmiast zmiana, rzucająca na jej własną przyszłość światło w jakim dotąd nie przedstawiała jej się nigdy.

Przed tem Hersylia chciała ją zatrzymać przy sobie koniecznie, jak przyjaciółkę której oddalenie prawie niepodobnem było dla niej do zniesienia, a pożegnała ją jak rywalkę której nie chciała zatrzymywać w swym domu. Było to dziwnem i niezrozumiałem, ale w każdym razie zmuszało Elianę do urządzenia sobie życia nadal zupełnie inaczej jak dotąd zamierzała. Pragnęła gorąco otrzymać przebaczenie dla Raynolda, wstawić się za Hersylią, otworzyć im drzwi domu matki... Ale jeźli dojdzie do tego celu, powinna starać się o to aby nawet cień zazdrości nie zasępiał życia Hersylii, nie może dopuścić tego przez wzgląd na Raynolda, na siebie samą... Jeźli kuzyn jej wróci, będzie musiała obmyślić sposób usunięcia się z domu jego matki.

— Nie myślałam o tem dotąd, szepnęła przyciskając czoło rękami, starając się zebrać myśli i zastanowić się śmiało nad swą przyszłością... następnie, znów jak raz już kiedyś, zawołała z boleścią: Jakże niekiedy życie bywa ciężkiem i trudnem!

Była jeszcze pogrążona w tych smutnych i niepokojących myślach, gdy panna Sylvestre weszła do pokoju z oznajmieniem, że pan de Malseigne który przyjechał przed godziną do pałacyku du Gué, i dowiedział się tam że Eliana wyjeźdża jutro, pomimo spóźnionej pory pośpieszył do Erlon aby ją pożegnać.

— A! jakże mnie to cieszy, zawołała Eliana zrywając się z krzesła. Niebo mi go tu zesłało, gdy tak potrzebuję jego rady!..

— Obawiam się tylko, rzekła panna Sylvestre czy teraz on znów nie zachorował bo jest bardzo zmieniony.

Eliana usłyszawszy to pobiegła natychmiast do pokoju w którym czekał na nią Armand. Spojrzała na niego niespokojnie i wydał jej się rzeczywiście bledszym jak zwykle.

— O co chodzi? zapytała spojrzawszy na niego; czy masz mi pan co ważnego do powiedzenia?

— Nie, chciałem tylko pożegnać i podziękować.

— Za co?

— Za wszystko.

Armand nie zupełną mówił prawdę, a może i nie wyznał sam przed sobą jaki niepokój i nieokreślona nadzieja powiodły go do niej. Czuł w głębi duszy że godzina ta miała być dla niego ważną i stanowczą, i że opuszczając dziś Elianę, pożegna ją na długo, może na zawsze. Chciał po raz ostatni wybadać to serce w którem umiał czytać, jeszcze zanim jak dziś otworzyło się dla niego z całą szczerością, jakie skutki wywołała nowa próba którą przeszła obecnie? jaką wytworzyło zmianę w jej uczuciach i postanowieniu to poufne zbliżenie się do żony Raynolda i samo poświęcenie do jakiego wznieść się umiała?.. Może do tych myśli łączyły się inne jeszcze, ale tych nie chciał dopuszczać ani zdawać sobie z nich sprawy.

Eliana ani się domyślała co się dzieje w umyśle poważnego jej doradcy, a tem mniej ważności tej rozmowy dla niego; nie przypatrując mu się, przystąpiła wprost do przedmiotu jaki zajmował ją wyłącznie.

— Czy widziałeś się pan z Hersylią? czy powiedziała że odjeżdżam jutro i ją to *cieszy?*

— Nie powiedziała tego, ale mogłem to widzieć.

— A czy wiesz pan dla czego?

— Jakkolwiek nie powiedziała nic z czegobym mógł domyśleć się jakim się to stało sposobem, zrozumiałem jednak że odgadła prawdę i obawia się pani.

— Mnie się obawia! zawołała dumnie Eliana, rumieniąc się; nie pojmuję jak może przypuszczać że byłabym zdolną jej szkodzić.

Bywają wypadki w których kobieta może zaszkodzić innej zupełnie mimowolnie a nawet bezwiednie, odpowiedział.

Zamyśliła się i rzekła po chwili:

— Szczerze mówię że według mnie Hersylia dziś nikogo obawiać się nie potrzebuje, i tuszę sobie że pod tym względem byłam jej użyteczną. Zdaje mi się że gdy Raynold powróci, uzna że żona jego uzupełniła brakujące jej przymioty, a wtedy, gdy tylko jeszcze pojedna się z matką, będzie mógł być zupełnie szczęśliwy.

Mówiła to z dziwnym spokojem — czyż może z tego wnosić że jej uczucia uległy zmianie? Nie zdradzając jednak tej przelotnej myśli, rzekł tylko:

— Tak, ale do pojednania tego bardzo jeszcze daleko.

— Przyjdzie jednak do niego, odrzekła żywo — muszę tego dokazać. Zaczynam od tego, rzekła podając mu list trzymany w ręku. Przeczytaj pan, a zobaczysz że obok sprawozdania z powierzonych mi pieniędzy, znajdzie tu margrabina szczegółowe sprawozdanie z czasu jaki tu przepędziłam.

Armand wziął list i cały przeczytał w milczeniu; znalazł w nim wierny opis dni spędzonych z Hersylią, w którym Eliana przedstawiała ją w sposób zdolny przekonać margrabinę i gniew jej rozbroić. Eliana przemawiała tak gorąco, dowodziła tak przekonywająco, iż zdawało mu się niepodobnem prawie aby margrabina zdołała oprzéć się jej przełożeniom.

— Będzie to istny cud, ale pani go dokażesz.

— Tak pan sądzisz?.. a! dzięki niebu!.. Ale doprowadziwszy do szczęśliwego końca, muszę opuścić dom margrabiny.

— Eliano!..

— Pomyśl pan tylko, a przyznasz mi słuszność. Gdybym pozostała gdy Raynold powróci, nie mogłabym żadnym sposobem przeszkodzić temu, aby Hersylia nie niepokoiła się ciągle i nie czuła nieszczęśliwą — a wtedy i on nie byłby szczęśliwy!

Gdy tak mówiła patrząc wprost przed siebie, raczej myśląc głośno niż zwracając się do Armanda, on wpatrywał się w jej twarz piękną i zadumaną, której wyraz żywiej jeszcze niż słowa przedstawiał zupełne zaparcie siebie i wyrzeczenie się własnego szczęścia, i boleść nieraz już odczuta, granicząca z rozpaczą ścisnęła mu serce.

— Ale cóż się z tobą stanie, Eliano, czyż zastanowiłaś się nad tem, że w twoim wieku nie należy zapominać o przyszłości.

— O przyszłości! powtórzyła, patrząc na niego z zadziwieniem.

— Tak, o przyszłości. Czy nie rozumiesz tego że możesz jeszcze dać szczęście i sama być szczęśliwą? Że życie może przynieść ci jeszcze wiele radości i obowiązków? Że możesz być kochaną gorąco i głęboko? Że kochaną jesteś.. Że może istnieć jakieś serce godne twojego, które tego tylko pragnie i o tem tylko marzy, aby mogło oddać ci się zupełnie i żyć dla ciebie wyłącznie...

Zatrzymał się spotkawszy spojrzenie Eliany, wyrażające niespokojność i pomięszanie.

— Nie rozumiem co pan chcesz powiedzieć... Wiedząc że odgadywałeś dokładnie wszystkie moje myśli, zanim jeszcze przywykłam wypowiadać ci je sama, nie sądzę abyś chciał utrzymywać, jak Iwon de Monléon, że powinnam iść za mąż i wyliczać nazwiska tych którzy widząc mnie parę razy, lub nawet nie znając wcale, byliby gotowi oświadczyć się o mnie.

— O! nie, z pewnością!.. Nie mówię bynajmniej o nich!..

— A więc o kim?

Milczał. Patrzyła na niego z wyrazem obawy i niepokoju, łatwym dla niego do zrozumienia. Odpowiedziała mu sama nie wiedząc o tem. Siłą woli zmusił się do pozornego spokoju, a spojrzenie jego szczere i życzliwe uspokoiło Elianę.

— Chciałem tylko, rzekł po dość długiem milczeniu, przypomnieć ci, Eliano, że życie nieskończone jeszcze dla ciebie i że...

— I że... przerwała trochę niecierpliwie, nie ma żadnego celu, wszak prawda? a to dlatego że nie mam powołania aby wstąpić do klasztoru a nie chcę iść za mąż. Ale w takim razie ja także mogłabym zapytać dlaczego pan się nie żenisz?

— Dlaczego?.. odpowiedział, bo tworzyłem marzenia których nie mogłem urzeczywistnić.

— A gdybym ja powiedziała toż samo, rzekła nie unikając jego wzroku ale rumieniąc się silnie, czy zasługiwałabym dlatego na ten zarzut że życie moje nie ma żadnego celu? Wstrząsasz pan głową, chcesz mi dać do zrozumienia że położenie mężczyzny jest zupełnie odmienne... że kobieta nie może żyć sama... że potrzebuje opieki... Wiem to wszystko, słyszałam to już mało sto razy. Ale ja z mej strony sądzę że jeźli (jak zdarza się to niekiedy) znajdzie się kobieta nie zdolna oddać dwa razy swego serca; jeźli raz w życiu otwierała się przed nią przyszłość którą przyjęłaby z radością, z uszczęśliwieniem, i gdy następnie nie może już zgodzić się na inną, nie jest to jeszcze powodem aby miała być bezużyteczną i żyć bez żadnego celu.

Armand słuchał nie przerywając i nie przecząc a Eliana mówiła dalej z żywością, jakby jej to przynosiło ulgę że może wypowiedzieć co czuje i myśli.

— Przewiduję, że może nie długo będę musiała rozpocząć życie samotne, ale w takim razie zamieszkam w takiem miejscu abym nie była zupełnie odosobioną, ani zupełnie bezużyteczną. Wiem że zacna panna Sylvestre zechce mi towarzyszyć, a stryjenka, w takim razie, zgodzi się na to chętnie. Młodość, którą przedstawiają mi jako tak wielką przeszkodę, szybko przeminie, a pozostaną mi do końca życia drodzy mi przyjaciele, książki, ubodzy, modlitwa i Bóg który jest wszystkiem. Wierz mi pan, nie będę ani samotną ani nieszczęśliwą... a jeźli nie będzie to przyszłość o jakiej marzyłam, to w każdym razie dobrowolnie wybrana przeze mnie, i jeźli tylko ani ja, ani wszystko koło mnie zupełnej nie ulegnie zmianie, to wybór ten mój pozostanie nieodwołalnym.

Armand słuchał uważnie, blady, z zaciśniętemi ustami i spuszczonemi oczyma, nie przerywając jej ani jednem słowem. Gdy skończyła, wziął jej rękę i rzekł wzruszony, składając na niej pocałunek:

— Eliano, przysięgam ci że pozostanę godnym zachować moje miejsce aż do ostatniej chwili mego życia, — wśród tych przyjaciół o których mówiłaś przed chwilą.

Nazajutrz, o tej samej godzinie, witano już radośnie Elianę w Crecy, a jednocześnie Armand wracał do Paryża, chcąc się tam spotkać z Raynoldem i uwiadomić go o chorobie i wyzdrowieniu Hersylii, o czem dotąd nie donosił mu wcale, wiedząc że już musiał odpłynąć z powrotem do Europy.

XVII

Raynold wrócił już od kilku dni, i uszczęśliwiona tem Hersylia odzyskała siły. Wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie, a mąż spostrzegł wkrótce że w jej charakterze i nawyknieniach zaszła także wielka zmiana. Zamiast spędzać dnie bezczynnie, starała się spędzać je użytecznie; widział że z przyjemnością zajmuje się robótkami i czyta z upodobaniem książki do których przed tem nie śmiałby jej zachęcać. Śledził ją wzrokiem z zadziwieniem, uśmiechając się, a ona patrzyła na niego ukradkiem i widząc jak pomyślne skutki przynosi jej wypełnianie rad Eliany, to cieszyła się jak dziecko, to oddawała się uczuciu zazdrości.

— Przypominam mu ją teraz trochę, mówiła do siebie z goryczą i dla tego podobam mu się więcej.

Była z natury zazdrosną, ale do tego czasu nie jeszcze nie rozbudziło w niej tego uczucia. Jednak gdy poznała Raynolda, a zwłaszcza gdy obudził w niej silniejsze wrażenie, pragnęła gorąco dowiedzieć się imienia tej *którą kochał i utracił* a jednak *nie umarła*. Te słowa tkwiły ciągle w pamięci Hersylii, a wciągu długich wieczorów w Rzymie które spędzała z nim i z ojcem nie mięszając się wcale do ich rozmowy, myślała o tem tylko czy on tę nieznaną jej kocha jeszcze.

Później, skoro w jej losie zaszła tak nagła i szczęśliwa zmiana, gdy Raynold żeniąc się z nią zrobił dla niej poświęcenie którego doniosłość pojmowała choć niedokładnie, widziała w tem tak niezbity dowód miłości, że zazdrość nie mogła znaleźć przystępu do jej serca. Ale gdy taż sama nuta i też same słowa które dawniej sprawiły tak gwałtowne wrażenie na Raynoldzie, teraz nie mniej silne wywarły na Elianę, wtenczas z przenikliwością graniczącą z jasnowidzeniem, odczytała tę nieznaną jej dotąd kartę ich przeszłości, i czem żywszem było jej przywiązanie i uwielbienie dla Eliany, tem silniejszym niepokojem przejmowała ją myśl że Raynold może się z nią spotkać. Jednakże obawiając się kochała ją zawsze, a te uczucia tak sprzeczne staczały w jej sercu ciągłą walkę, pozbawiając jej spokojności umysłu, bez którego nie mogła odzyskać zdrowia.

Raynold zaraz po powrocie uwiadomił żonę że wkrótce opuszczą razem te strony i udadzą się w daleką podróż. Ucieszył się widząc że Hersylia jest z tego bardzo zadawoloną i że nawet pragnęłaby wyjechać jak najprędzej, a jakkolwiek zadziwiło go to zniechęcenie jej do miejsca które z początku podobało jej się bardzo, przypisywał je wspomnieniom jej własnej choroby i śmierci Assunty. Malseigne pozostał w Paryżu, ale żegnając się z przyjacielem ucieszył go szczerze obietnicą że pojedzie z nimi i będzie obecnym przy ich osiedleniu się na drugiej półkuli świata.

Raynold z powodu przygotowań niezbędnych przed oddaleniem się z kraju na czas tak długi, zmuszonym był wyjeżdżać często do Paryża, nie bawił tam jednak nigdy dłużej jak kilka godzin, i zawsze na obiad wracał do domu. Niekiedy, skoro przyjechał wcześniej jak zwykle, tak że Hersylia nie spodziewała się go jeszcze, zastawał ją siedzącą jak dawniej bezczynnie i zamyśloną. Zaledwie go spostrzegła, wybiegała na przeciwko niego i wtenczas spostrzegał ze smutkiem, że twarz jej ożywiona przez chwilę rumieńcem wywołanym radością, stawała się następnie bledszą jeszcze jak zwykle, a wielkie oczy, jakkolwiek silnie błyszczące, były zapadłe i podkrążone. Widział w tem dowód że Hersylia nie odzyskała jeszcze zupełnie sił i zdrowia, jak mu się to zdawało z początku, a gdy się zapytał doktora, ten potwierdził jego zdanie, dodając że nie ma w tem nic tak bardzo niepokojącego, ponieważ podobne osłabienie trwa niekiedy bardzo długo, po tak ciężkiej chorobie jaką Hersylia przebyła.

Jednak paroksyzmy osłabienia zamiast przychodzić rzadziej, następowały co raz częściej i gdy pewnego dnia chciała zaśpiewać coś mężowi, po kilku taktach zabrakło jej głosu, i umilkła nagle oddychając ciężko.

— To dziwne, rzekła siadając na fotelu, jeszcze trzy tygodnie temu miałam głos piękny i śpiewałam równie pięknie jak dawniej.

Zamyśliła się i wspomnienie tak pamiętnego dnia twarz jej zasępiło. Raynold patrzył na nią niespokojnie, potem usiadł przy niej i sądząc że jest zniechęconą i obawia się o siebie, rzekł ściskając z czułością jej rękę.

— Nie lękaj się *carissima*, wyzdrowiejesz nie długo; powietrze morskie pokrzepi twe siły, podróż cię rozerwie, a tam gdzie pojedziemy klimat jest równie miłym jak we Włoszech.

— Ah! nie odwagi mi brakuje, odpowiedziała uśmiechając się smutnie.

Powiedziawszy to przymknęła oczy, jakby nie chcąc mówić więcej aby nie powiedzieć za wiele!

Upłynęło tak kilka minut, a Raynold nie wiedział czy mówić do niej czy nie przerywać milczenia, gdy otworzyła oczy, wyprostowała się i rzekła:

— Przebacz mi, Rinaldo, jestem dziś słabsza jak zwykle, ale muszę otrząsnąć się z tego... Słuchaj, przeczytajmy razem jaki ustęp z *Raju utraconego*... Myślała chwilę, a następnie zaczęła deklamować z uczuciem i trochę podniesionym głosem:

Cio ch'io vedeva mi sembreva un riso
Dell Universo: perchè mia ebrezza
Entrava per l' udire e per lo viso.

O gioja! O ineffabile allegrezza!
O vita intera d' amore e di pace!
O senza brama, sicura richezza!

(To co widziałam wydało mi się uśmiechem wszechświata; upojenie przez słuch i wzrok wnikało we mnie.
O radości! o rozkoszy niezrównana! O życie miłości i spokoju! O bogactwo! wolne od obawy i żądzy!)

Lecz zaledwie wypowiedziała te dwie strofy, tchu jej zabrakło i musiała przestać.

— Ah! rzekła, nie mogę dziś ani śpiewać ani deklamować... Ale mogę słuchać. Weź książkę Rinaldo, i czytaj mi co tylko zechcesz... ale podaj mi pierwej robotkę leżącą tam na stole.

Raynold wstał po wskazaną mu robótkę. Był to kawałek karmazynowego atłasu, na którym Hersylia haftowała bukiet z białych róż przeplatanych złotemi liśćmi. Przypatrywał się czas jakiś z uwagą i zadziwieniem. Ten deseń, jak i woń fijołków wydobywająca się z materyi, budziły w nim jakieś niepewne wspomnienie, i sam nie wiedział czemu serce jego zaczęło bić spieszniej.

— Nie haftowałaś dawniej tak pięknie, rzekł zbliżając się do żony, nie przypominam sobie nawet abym widział kiedy w twych rękach podobną robotę.

Wiemy że silne rozdrażnienie nerwów towarzyszyło zawsze u Hersylii wzmagającemu się osłabieniu, dlatego też nie mogła w tej chwili oprzéć się chęci rozbudzenia silniej jeszcze dręczącego ją niepokoju, lub też pozbycia się go na zawsze.

— Masz słuszność, Rinaldo, rzekła, nie umiałam haftować tak pięknie, dopóki nie nauczyła mnie tego ta, która dała mi ten atłas i wyhaftowała tę białą różę.

Zanim zdołał jej zadać jakieś pytanie, dodała wpatrując się w niego:

— Ta nieoceniona przyjaciółka, której zawdzięczam bardzo wiele, nazywa się *Eliana de Liminges*.

Od czterech lat nikt nie wymówił przy Raynoldzie imienia Eliany; on sam nie wymieniał go nigdy nawet mówiąc z Armandem. Gdy teraz usłyszał je tak niespodziewanie wychodzące z ust żony, doznał tak silnego wzruszenia i zadziwienia że nie zdołał go ukryć, i oczy Hersylii wpatrujące się w niego badawczo, mogły wyczytać z jego twarzy wszystko czego się chciała dowiedzieć. Ale Raynold od lat dwóch nauczył się tak panować nad so-

bą, iż zdołał po chwilce zapytać spokojnie i z uśmiechem:

— A kiedyż i jakim sposobem poznałaś kuzynkę moją Elianę?

Ten spokój i uśmiech zadziwiły ją i zachwiały nieco powzięte przekonanie, ale za nadto była podniecona i rozdrażnioną aby mogła odpowiedzieć spokojnie, nie zastanawiając się więc że może wywołać czego właśnie najwięcej się obawiała, to jest zbudzić uśpione uczucie, zaczęła opowiadać mu z gorączkowym pośpiechem, jak pewnej nocy zobaczyła Elianę przy swojem łóżku i wzięła ją za jakieś nadziemskie zjawisko; jak ona potem ją troskliwie pielęgnowała, rozrywała i pocieszała, a następnie wzbudziła w niej zamiłowanie do czytania, zajmowania się a to aby stać się spokojną, szczęśliwszą i lepszą, podniecając jej wytrwałość zapewnieniem że przez to stanie się godniejszą Raynolda i goręcej kochaną będzie, a nakoniec jak bardzo, jak serdecznie pokochała Elianę i pragnęła nie rozstawać się z nią nigdy, aż do chwili w której odgadła że to właśnie *ją... ją* Raynold kochał tak szalenie... A domyśliła się tego gdy pewnego dnia, skoro zaczęła śpiewać; *Ah! non credea mirarti...* Eliana przerwała jej nagle, tak jak on w Rzymie przed dwoma laty.

I tak, gwałtowna i niedoświadczona Hersylia, podniecona gorączkowem uniesieniem, wypowiedziała słowa zarówno groźne dla własnego jej szczęścia jakoteż dla spokoju męża, który słuchał jej milcząc, spokojny na pozór; nie zdradzając gwałtownego wzruszenia miotającego jego duszą i sercem. Gdy nareszcie przestała mówić, blada i bez tchu prawie, spojrzał na nią spokojnie, rozsuwając lekko włosy spadające w nieładzie na jej czoło:

— Jakże to mało trzeba, aby zaniepokoić ciebie, *Ersilia mia*; uspokój się, niedobre dziecko, proszę cię o to, *chcę tego*.

Nie była to odpowiedź, ale wypowiedział te słowa głosem dziwnie uspakająco oddziaływającym na nią; nie opierała się też wcale gdy nie mówiąc nic więcej wziął ją na ręce i przeniósł na szeslong. Po zbytniem rozdrażnieniu nastąpiła prostracya; wsparła głowę na poduszce, kilka łez spadłona bladą twarz z pod przymkniętych powiek.

Raynold ukląknąwszy przy niej, ucałował twarz jej i oczy, potem rzekł słodkim głosem:

— Odpocznij, *carina mia* i nie płacz, nie pozwalam na to. Ufaj mi, Hersylio, jeźli nie chcesz być niesprawiedliwą; wierzaj mi że żyję tylko dla ciebie, i że szczęście twoje stokroć mi droższe niż moje własne.

— Dobry jesteś i kocham cię bardzo, Raynoldzie, odpowiedziała cicho zatrzymując jego rękę, którą wysunął dopiero gdy zasnęła, poczem cicho wyszedł z pokoju.

Dla uspokojenia Hersylii zadał sobie gwałtowny przymus, ale teraz nie umiał uspokoić siebie samego. Jakim sposobem zdoła się dowiedzieć jaki nieprzewidziany zbieg okoliczności zbliżył Hersylię z Elianą, skoro mógł być niemal pewnym że nie wie nawet o jej istnieniu?.. Szczęściem tego dnia właśnie miał przybyć Malseigne — jakże niecierpliwie go oczekiwał! Wielkim krokiem poszedł ku kracie, następnie minął ją i szedł drogą do chwili gdy dostrzegł powóz wiozący Armanda ze stacyi.

Skinął na niego aby wysiadł i obaj szli piechotą — łatwo odgadnąć co było przedmiotem ich rozmowy.

Zbliżając Elianę do żony przyjaciela, Armand nie mógł przewidzieć dziwnego zbiegu okoliczności, mającego tak przeważnie oddziałać na wzajemny ich stosunek, z którego tak błogich spodziewał się owoców, a które w następstwie tak zgubnie oddziałały na umysł Hersylii. Lecz samo już tak nagłe rozstanie się z Elianą, zdawało się być rękojmią że o poznaniu jej Hersylia nic nie powie mężowi; zamyślał więc zwolna sam zawiadomić go o tem, ani przypuszczając że sama żona rozbudzi w nim wspomnienie, zgubne dla obojga. Teraz nie pozostawało mu jak uzupełnić opowiadanie Hersylii, dodając że obecnie Eliana tego tylko pragnie aby go pogodzić z matką, i zapewnić tym sposobem jego i Hersylii spokój i szczęście.

Wiadomość ta nader silne na Raynoldzie wywarła wrażenie. Obok gwałtownego wzruszenia uczuwał pewną gorycz której nie śmiałby okazać, ale pokonać nie mógł. Uznawał nieocenioną szlachetność, nieograniczoną odwagę i dobroć Eliany — ale nie dowodziłyż one właśnie najzupełniejszej obojętności? Czyż byłaby do nich zdolną, gdyby go kiedykolwiek kochała? A nadto, czyż sam nie stał się jej niegodnym i miał prawo wymagać aby nie zapominała o nim i całe życie była nieszczęśliwa, skoro mogła myśléć iż on przestał ją kochać i z inną był szczęśliwy?..

Smutek i niepokój miotały jego sercem; starał się jednak zapanować nad sobą i całkiem poświęcić się zadaniu podjętemu w chwili gdy uchronił Hersylię od grożącego jej niebezpieczeństwa. Aby tego dokonać, należało najpierw stłumić wszelkie zazdrość budzące myśli.

Czyby zdołał tego dokazać? Czy ona mogłaby zapomnieć co wzniecił jej podejrzenia i zazdrość? Czy Raynold zdołałby sprowadzić i utrzymać w domowem swem ognisku to szczęście dla którego chciał się poświęcić? — trudno odpowiedzieć na to, gdyż niebawem przekonano się że owo gorączkowe rozdrażnienie Hersylii, było raczej przyczyną niż skutkiem przesadzonego jej niepokoju, który nie ustawał pomimo najtroskliwszych starań jakiemi otaczał ją Raynold, i pomimo odzyskanego niby moralnego uspokojenia.

Powracały coraz częstsze i silniejsze paroksyzmy gorączki, w skutku czego wyjazd ich odłożony został najpierw na miesiąc, następnie na dwa, aż nareszcie coraz groźniejsze symptomata, zniewoliły Raynolda do zupełnej zmiany swych zamiarów.

Nie mógł myśléć nawet o porzuceniu kraju, który tylko dla dobra Hersylii chciał opuścić na tak długo. Do ciągłej gorączki przyłączył się ciężki suchy kaszel, dowodzący że płuca silnie były zaatakowane, niepodobna więc było przypuszczać aby mogła odbyć długą podróż do Rio Janeiro, dokąd przysłano mu nominacyę, w nagrodę wzorowego wywiązania się z pierwszej missyi. Podał się więc do dymisyi i wyjechał z żoną na Maderę aby tam przepędzić zimę; Armand im towarzyszył.

XVIII.

Podczas gdy Raynold udał się w kierunku tak przeciwnym zamierzonej podróży, Eliana miała znów wyjechać z ciotką i kuzynką do San Remo, gdyż żółknące liście w parku Crecy zapowiadały jesień. Mimo to pogodne słońce oświecało jeszcze trawniki po których dzieci Bianki biegały wesoło, pod strażą jej i Eliany, rozmawiających pod cieniem rozłożystego drzewa.

Zajęte rozmową i robótkami, spoglądały mimo to raz po raz ku drzwiom balkonowym prowadzącym na taras, przy których stał fotel na którym wytaczano margrabinę do ogrodu, gdyż od kilku miesięcy zdrowie jej tak się pogorszyło, że prawie nie mogła chodzić. Codziennie rano słuchała Mszy św. odprawianej w kaplicy zamkowej, a następnie, jeźli pogoda sprzyjała, przebywała w ogrodzie z córką i synową. Dziś jednak fotel oczekiwał dotąd choć było już po dziesiątej.

— Tak późno, a nie ma jeszcze mamy; widocznie coraz więcej traci władzę w nogach, rzekła smutnie Bianka.

— Dłużej dziś jak zwykle była w kaplicy, odpowiedziała Eliana, może więc nie odpoczęła jeszcze. Zapewnie że jest więcej teraz osłabiona, ale znów pod innymi względami o ileż jest lepiej.. Ah! Bianko droga, ja mam nadzieję...

— Nie śmiem mówić z matką o tym przedmiocie, z obawy aby nie zaszkodzić temu właśnie czego tak gorąco pragnę i o co codziennie gorącej niż o cokolwiek błagam Boga.

— Miejmy nadzieję że Bóg nas wysłucha.

— Ah! jak trudno pojąć aby serce tak szlachetne, zacne i wspaniałomyślne jak serce mojej ukochanej matki, mogło tak długo żywić uczucia gniewu i niechęci.

— Prawda, ale z drugiej strony, jestto rana tak bolesna i głęboka! a wiesz, Bianko, że nic trudniejszego jak umiéć zapanować nad sobą, szczególniej jeźli ktoś nie nawykł do tego od lat młodocianych.

— Ale jakże ci się zdaje, Eliano, czy nareszcie przeczytała twój list?

— Tak sądzę, ale nie jestem pewna.

Eliana tyle tylko wiedziała, że margrabina nie czytając włożyła do biurka list jej dołączony do sprawozdania, dwa miesiące temu. Może całe zachowanie się Eliany i pomięszanie panny Sylvestre ilekroć baczniej spojrzała na nią, obudzały jej nieufność i kazały mieć się na baczności. Poczciwa panna Sylvestre nie mogła sobie darować, że przychylając się do próśby Eliany, postąpiła wbrew woli ukochanej pani i nie śmiała spojrzeć na nią. To pewna że po serdecznem powitaniu synowicy i radości że powraca zdrowa, obchodzenie się z nią margrabiny, zdradzało jakiś przymus i jakby zakłopotanie.

Wkrótce jednak Eliana przekonała się że nie pochodzi to z niezadowolnienia. Niekiedy margrabina zadawała jej jakieś pytanie i przerywała je nagle, co przekonywało przecież iż wie o czem mówić nie chce, ale z drugiej strony nigdy nie patrzyła na nią tak słodko i dobrotliwie jak obecnie, co wynagradzało milczenie, usprawiedliwiając zarazem nadzieje Eliany.

Nareszcie ktoś ukazał się we drzwiach balkonowych, ale nie była to margrabina tylko panna Sylvestre, prędko biegnąca do nich. Zerwały się obie.

— Matka ma się gorzej! zawołała Bianka przyśpieszając kroku.

Nie, nie... zatrzymajcie się... owszem czuję się lepiej... wróciwszy z kaplicy pisała coś przy biurku, to ją zmęczyło, nie wyjdzie i prosi was do siebie.

W jednej chwili dobiegły do pokoju margrabiny. Wiedziały że tylko z wielkim trudem margrabina mogła słów kilka nakreślić lewą ręką, ilekroć więc potrzebowała coś pisać, zawsze jedną z nich przyzywała.

Margrabina siedziała w fotelu, przed nią stał stolik ze wszelkiemi przyrządami do pisania, kilka podartych ćwiartek papieru świadczyły że chciała pisać sama, nie uciekając się do ich pomocy. Te daremne pokuszenia i silne poskramiane wzruszenie,

odbiły się w jej twarzy, nadając wybitniejszy niż zwykle wyraz cierpienia. Spostrzegłszy zaniepokojenie córki, rzekła uśmiechając się:

— Uspokój się, moję dziecię, i ty Eliano nie miej tak przerażonej miny. Przeliczyłam się rachując na swoje siły... przekonywam się że nigdy już sama przez się nic zrobić nie zdołam, i do końca życia od was obu, dzieci moje, zależéć będę. Niech się dzieje wola Boża. On karze mnie, ale jak ojciec, za to że całe życie własną się tylko rządziłam... Błogosławię miłosierdzie Jego!

Pokora i prostota z jaką ta dumna niedawno kobieta wyrzekła te słowa, przerażające na nich wywarła wrażenie. Nie śmiały odpowiedzieć starając się całą siłą woli zapanować nad gwałtownem ogarniającem je wzruszeniem; gdy jednak margrabina oddała zmienionym głosem:

— Tak, widocznie Bóg nie chce dozwolić abym odtąd mogła obejść się bez pomocy dzieci *i dlatego też pragnę je wszystkie mieć przy sobie...* nie były w stanie powstrzymać okrzyku radości i wdzięczności jaki wydarł się z ich piersi, i gdy Bianka obsypywała pocałunkami ręce matki, Eliana padła na kolana milcząc, i złożywszy ręce wypowiedziała sercem najgorętszą dziękczynną modlitwę...

Przez kilka chwil w pokoju margrabiny tak uroczysta zapanowała cisza, jakby cud jakiś się objawił. Margrabina patrzyła na córkę i synowicę, i po chwili rzekła do Bianki:

— Siadaj przy biurku i pisz za mnie.

Wziąwszy pióro, Bianka pisała drżącą ręką po dyktowaniu matki, a podawane przez margrabinę wyrazy, wywołały żywsze może niż jej własnego bicie serca Eliany:

„Powracaj Raynoldzie. Sprawa twoja i Hersylii została wygraną, dzięki najgorętszej obronie. Przybywajcie oboje; serce moje i ramiona są dla was otwarte."

— A teraz podaj mi pióro, dodała margrabina.

I lewą ręką, krzywemi ale wyraźnemi literami, dopisała: *Kochająca matka przebacza ci i oczekuje.*

Położywszy pióro skinęła na synowicę i mocno przycisnęła ją do serca, z uczuciem rozrzewnienia i żalu, zrozumiałem dla Eliany, ale nie objawionem żadnem słówkiem.

. . . .

List margrabiny wysłano natychmiast do Paryża do mieszkania Armanda, zkąd Raynold odbierał wszelkie przesyłki, według umowy z Elianą, gdy tenże żegnał się z nią w Erlon przed wyjazdem Raynolda. Nie wiedzieli jeszcze wówczas kiedy nastąpi powtórny jego wyjazd, a tem mniej jaki zbieg okoliczności zmusi go do zmienienia pierwotnego planu. Może Armand miał jakąś nadzieję że starania Eliany zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, tak prędko, że kuzyn jej nie będzie zmuszonym opuszczać kraju, ale nie odbierając od niej żadnego listu, nie chciał sam przerywać milczenia. Nie umawiając się oto wyraźnie, postanowili oboje mówić o Raynoldzie wtenczas tylko gdy to okaże się niezbędnem. Eliana nie wiedziała więc nic o tem co zaszło w pałacyku po jej wyjeździe, ani też gdzie Raynold odbierze list matki.

Radość Eliany z powodu tego pojednania, nad którem pracowała tak gorliwie, była połączona z bolesnem a starannie ukrywanem cierpieniem, gdyż w jej zamiarach nie zaszła żadna zmiana i wraz z powrotem Raynolda miała rozpocząć nowe, a zwłaszcza z początku smutne życie. Jednak, jak się to łatwo domyśléć, mniej zajmowała się swą własną przyszłością jak szczęściem osób drogich jej sercu, a margrabina zdawała się nawet fizycznie odczuwać skutki błogiego spokoju, następującego po każdym zwycięztwie, a zwłaszcza po odniesionem nad samym sobą.

Pewnego dnia, w trzy tygodnie po wysłaniu listu margrabiny, Bianka i Eliana siedziały same w tym pokoju w którym poraz pierwszy mówiły z sobą o ożenieniu się Raynolda.

— Czy mogłam nawet przypuścić, rzekła Bianka, gdy odebraliśmy z Rzymu tak bolesną dla nas wiadomość, że przyjdzie czas w którym rachować będę niecierpliwie dni do powrotu Raynolda *i jego żony!* tej Hersylii której nie znałam nawet imienia, a pomimo to nienawidziłam jak nikogo dotąd w życiu.

— A którą jednak kochać będziesz, skoro ją poznasz, odpowiedziała Eliana.

— Wierzę temu, skoro tak mówisz, a jednak!.. ale pragnę przedewszystkiem ucałować Raynolda, ujrzéć go w objęciach matki... Co do niej...

W tej chwili wszedł do pokoju służący, niosąc na tacy list adresowany po panny de Liminges.

— Nie ma więcej listów? zapytała Bianka.

— Nie, pani hrabino, odpowiedział służący i wyszedł z pokoju.

Eliana patrzyła tymczasem z największem zdumieniem na list adresowany do niej ręką Armanda, i zapieczętowany czarnym lakiem.

Nigdy jeszcze nie doznała równie silnego przestrachu i wzruszenia. Bianka zwróciła także oczy na list, a następnie patrzyły na siebie czas jakiś blade, milczące, nie zdolne wyrażać przerażających przypuszczeń swoich.

— Jakąkolwiek wiadomość ten list nam przynosi, rzekła nakonie Eliana drżącym głosem, uzbrójmy się w odwagę, Bianko, bo skoro jest *do mnie* adresowany... to .. to... musi zawierać coś takiego... do czego trzeba będzie przygotować *jego* matkę...

— Boże, zmiłuj się nad nami! zawołała Bianka ukrywając twarz w dłoniach...

Eliana złamała pieczątkę... W liście Armanda znajdował się drugi który wypadł na podłogę. Bianka podniosła go śpiesznie i przeczytały na nim nazwisko magrabiny skreślone ręką jej syna... jednak nie uspokoiło ich to jeszcze zupełnie i Bianka drżąc z obawy prosiła kuzynki aby prędko swój list przeczytała. Eliana zaczęła czytać cichym i przerywanym głosem:

Madera, 15 października 18...

Droga Eliano!

„Tobie przesyłam list pisany przez Raynolda, w chwili gdy odebrał przebaczenie matki wraz z wezwaniem aby do niej wrócił. Wiem że nie przeczyta go bez głębokiego wzruszenia, i że potrafisz lepiej niż ktokolwiek inny wybrać chwilę w której będzie można jej go oddać, bez złego wpływu na jej zdrowie. Zresztą wszakże ty, Eliano, powinnaś być już do końca posłanniczką pokoju i przebaczenia!..

Przy tych słowach Eliana odetchnęła swobodniej, a uśmiech wrócił na usta Bianki i zawołała:

— Czytaj, czytaj dalej, proszę cię!

Eliana czytała dalej:

„Ale wiem że doznasz silnego i bolesnego wrażenia, od którego pragnąłbym cię uchronić gdyby to było możliwem, skoro się dowiesz że biedna Hersylia już nie żyje!..

Eliana krzyknęła, wzruszenie pozbawiło ją tchu na chwilę. Bianka patrzyła na nią zdumiona i przez kilka minut nie mogły czytać dalej listu Armanda. W pamięci Eliany rozbudziły się nagle wszystkie wspomnienia z czasu jej pobytu w pałacyku du Gué, i wywołały tak różnorodne uczucia, że niepodobna jej było zebrać myśli. *Hersylia już nie żyje!..* Czytała i odczytywała ciągle te słowa, a nie mogła uwierzyć aby się stosowały do tej którą widziała po raz ostatni w całym blasku młodości, piękności a pozornie i zdrowia, i której pragnęła tak gorąco zapewnić szczęście.

Po długiem milczeniu na prośbę Bianki, czytała daléj stłumionym głosem list Armanda.

„...Wkrótce po twoim wyjeździe zdrowie Hersylii tak się pogorszyło, że Rajnold był zmuszony zrzec się posady w Ameryce, którą już otrzymał i udać się z żoną na Maderę. Z początku zdawało się, że podróż morska i zmiana klimatu sprowadziły szczęśliwą zmianę, ale nie długo to trwało. Doktór oświadczył że była dotknięta chorobą sercową, jak się zdawało dziedziczną, a której rozwój przyspieszyła niebezpieczna gorączka jaką przebyła. Zdawało się iż i ona domyśliła się bardzo prędko, że nie wyzdrowieje, a nawet można było sądzić niekiedy, że nie pragnie tego. Nie wiem czy to przypisać wzrastającemu ciągle osłabieniu, czy téż wrodzonej gnuśności powiększonej jeszcze chorobą, ale mówiła bardzo mało, nie skarżyła się nigdy, siedziała całemi godzinami zamyślona i mylcząca, a oczy jej ożywiały się wtenczas tylko gdy Raynold czytał jej głośno, lub, gdy pełnym słodyczy i wdzięczności uśmiechem dziękowała za tkliwe starania któremi otaczał ją ciągle.

Pewnego dnia, gdy mąż jej wyszedł z pokoju, przyzwała mnie do siebie i wskazując mi miejsce przy swym fotelu, naprzeciwko otwartego okna, przed którem rozciągał się zachwycający widok, rzekła do mnie: „Będziesz pan pocieszał Raynolda!..." Głos jej był jeszcze słabszy i bardziej przerywany jak zwykle, chiałem przerwać aby się nie męczyła, ale dała mi znak ręką abym jej pozwolił mówić dalej; i przepisuję tu dosłownie wyrzeczone przez nią słowa, gdyż będą one stanowić dla ciebie, Eliano, prawdziwą na zawsze pociechę: „Jeżeli, jak spodziewam się (znając jak jest dobrą), Elianę zasmuci wiadomość o mej śmierci, powiedz jéj niech się modli za mnie, ale niech nie płacze, powiedz jej, że ją kocham, że zawsze myślę o niej... że życzę jej tego szczęścia jakie ona pragnęła mi zapewnić... To nie jej wina... ale nie mogłam być szczęśliwą... ani on także... tak będzie najlepiej.." Mówiła to wszystko spokojnie, ale głosem bardzo słabym i przerywanym.

„Od tego dnia siły opuszczały ją stopniowo, ale ciągle. Rajnold odebrał list matki dopiero w wiliję jej śmierci... Nie zdawała się gorzej jak zwykle, dla tego też rzekł zbliżając się do niej: Ersilia mia! matka moja przebaczyła mi i wzywa nas oboje do siebie!..."

„O! dzięki Bogu!" rzekła składając ręce, ale po chwili dodała wstrząsając głową: „Ja tam już nie pojadę, ale cóż to znaczy... połączymy się kiedyś wszyscy... nie płacz... *tak będzie najlepiej!"* Te słowa wracały często na jej usta aż do ostatniej chwili jej życia... Nazajutrz zgasła spokojnie, cicho, jak dziecię zasypiające po wieczornej modlitwie.

Eliana i Bianka płakały głośno, i dopiero po niejakim czasie Eliana mogła dokończyć listu Armanda.

(*D. c. n*).

Opis do N-ru 14.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1 i 17. Ubranie z vêtement. Krój na arkuszu z formami N. I, fig. 1—5.

Ryc. 1 i 17 przedstawia ubranie raz odrobione z materyału wełnianego gładkiego i w kratę, drugi raz „z surah merveilleux“ i jedwabnego adamaszku. Na arkuszu z krojami dajemy w naturalnej wielkości formę vêtement, którego plecy zakończone krótkim bawetem, dopełnia draperya z oddzielnych brytów, upięta na spódnicy. Przody krajane razem z boczkami, trzeba dopełnić u dołu podług podanej na formie miary; krzyżyki i punkty oznaczają płaskie fałdy, które zaszywa się przy brzegach tylnych. Miary draperyi tylnej, której bufy przypina się za pomocą krytych haftek do spódnicy, dajemy na małym modelu fig. 5, litera *a* i *b*; dół spódnicy zdobią cztery falbany układane w kontrafałdy, mające po 12 cent. szerokości.

N. 2. Ubranie z krótkim płaszczykiem.

Płaszczyk odrobiony był z kaszmiru przerabiannego w palmy jedwabiami w kolorach tureckich, z podszewką z ciemno ponsowej surah; ozdobiony agrafami z pasmanteryi i piękną sznelową frendzlą w kolorach palm. Zwracamy uwagę na piękny i świeży fason pleców zakończonych sutą draperyą, krajaną razem z pleckami, na którą 15 cent. poniżej wcięcia w pasie, dodaje się baskinę 47 cent. długą, a 35 szeroką, sfałdowaną z brzegów bocznych do 22, a w środku do 17 cent. długości. Wykrój szyi oszyty w kontrafałdy układaną falbanką z ponsową podszewką i frendzlą sznelową.

N. 3. Paletocik dla małej dziewczynki.

Odrobiony z sukna jasno popielatego, ozdobiony bramkami z sutaszu i długą kokardą ze wstążki. Guziki stalowe.

N. 4—7. i ryc. 8 w N. 15. Serweta ozdobiona haftem płaskim i szlakami siatkowemi.

Model serwety miał oprócz szydełkowej koronki, 85 c. w kwadrat. Haft płaski, wstawki siatkowe i koronka szydełkowa mogą być robione kolorowemi jedwabiami lub bawełną do haftu i kordonkową białą, do tła z płótna cienkiego. Środek serwety jest z kawałka płótna trzymającego 27 c. w kwadrat, ozdobionego czterema haftowanemi bukiecikami, do których deseń podamy w jednym z dalszych numerów „Tygodnika Mód“. Próbkę i opis wstawki siatkowej, wszytej między środkową i brzeżną, 14 cent. szeroką część płócienną podaliśmy w N. 4 „Tygodnika Mód“ na r. 30. Na pasie płóciennym wyhaftowane są w rogach bukieciki skośne, a na środku proste; do ostatnich dajemy deseń naturalnej wielkości na ryc. 8 w N. 15. Na modelu użyta była do haftu pela w kolorze zielonym, bordo, blado niebieskim i paljowym; za płótnem dana szersza wstawka siatkowa, obrąb płócienny i ząbki szydełkowe, do których dajemy deseń i model naturalnej wielkosci na r. 5. Tło siatki robione było z jedwabiu ciemno bordo; proste, przewijane figury deseniu cerowane były pelą jasno bronzową, mniejsze boczne pelą ciemno maisowego koloru, drobne listki robić pelą niebieską i nitką srebrną, którą obwieść także brzegi liści. Proste i drobne figury przy pateczkach wycerować dwoma cieniami peli zielonej, z obwódką złotą. Ząbki na pasie płóciennym i na obrębie i małe muszki haftować naprzemian kolorem maisowym, paljowym, jasno niebieskim i nitką srebrną. Ząbki gipiurowe, szydełkowe robione wzdłuż z kordonku cienkiego, zacząć łańcuszkiem paljowym odpowiedniej długości, któren obrobić trzy razy szlaczkiem ażurowym, koloru bordo, którego powiększoną próbkę dajemy na ryc. 7; przez środek ażurów przewlec w sposób na próbce wskazany, podwójne nitki srebrne. Ząbki gipiurowe łatwo odrobić można podług wyraźnej próbki danej na ryc. 5; rząd pierwszy stanowią figury robione ściegiem łańcuszkowym, kordonkiem zielonym, rząd drugi oczkami łańcuszkowemi i ścisłemi, kolorem blado niebieskim, a ząbki brzeżne naprzemian kolorem bordo i paljowym. Brzeg górny obrobić raz w odwrotną stronę kolorem zielonym. Powiększoną próbkę ściegu do cerowania siatki, dajemy na ryc. 6.

N. 8—9. Staniki wycięte do sukien balowych lub wieczorowych.

Ryc. 8 przedstawia suknię balową z gładkiego tiulu i gazy jedwabnej w paski, stanik bawetowy z materyi jedwabnej, zdobi długa berta plisowana, dopełniona szmizetką z jedwabnego tiulu, a na jednem ramieniu spiętą bukietem z kwiatów. Na ryc. 9 podajemy suknię z indyjskiego muślinu, ze stanikiem do paska, ozdobionym suto odstającą bertą, właściwą dla osób wysmukłych. Pasek ze wstążki atłasowej, która na sute rozetowe kokardy z długiemi końcami dana była w dwóch kolorach.

N. 10. Koszyk na negliżyki, ozdobiony lambrekiną szydełkową i kuleczkami.

Lambrekina składa się z rozet szydełkowych robionych oddzielnie a następnie spajanych z lewej strony. Ryc. 5 w N. 15 przedstawia w naturalnej wielkości rozetę, robioną z włóczki hamburgskiej w dwóch cieniach, a ryc. 6. podaje początek rozety, któren stanowi 28 słupków robionych kolorem ciemniejszym, około kółka mosiężnego. Rząd drugi stanowią ząbki robione z włóczki jaśniejszej, z wierzchu wyszyte są listki filozelą miedzianego koloru, takiegoż ciemniejszego koloru jest pompon włóczkowy. zapełniający środek rozety. W górze lambrekina zakończona i przyczepiona jest do koszyka ząbkami łańcuszkowemi. Ozdobę stanowią kulki z włóczki oliwkowej i filozeli miedzianego koloru. Na ryc. 7 dajemy model rozety frywolitowej, z pomponem szlimakowym w środku. W górze przyszyty do koszyczka woreczek 30 cent. długi zrobiony z oliwkowego kaszmiru.

N. 11—12. Dwie kokardy krawatowe.

N. 12. Kokarda z chusteczki jedwabnej.

Model zrobiony był z małej chusteczki mającej tło gładkie ponsowe, a szlak szeroki przerabiany w różnokolorowe figurki zwane „Greenaway“; z brzegów dany wązki szlaczek granatowy. Z jednej strony układa się z części środkowej bufiastą kokardę, węzłem przewiązaną z drugiej strony dane są cztery równe końce.

N. 12. Kokarda z gazy i koronki.

Do koronki 7 cent. szerokiej ozdobionej wypukłym deseniem, daliśmy model i próbkę roboty w N. 47 z roku 1882. Na koniec dolny przyszywa się koronkę do kawałka gładkiego tiulu, od dołu trochę zaokrąglonego, mającego 12 cent. szerokości a 8 długości, a na zwierzchni koniec do równie szerokiego a 5 cent. długiego kawałka gazy. Sute bufy i węzeł układa się ze skośnej gazy w rzucik. Z wierzchu przypięta gałązka kwiatów złotych filigranowych, którą podajemy na ryc. 23—29.

N. 16. Płaszczyk wiosenny. Forma na arkuszu z krojami N. XX, fig. 75.

Mały model fig. 75, przedstawia dokładnie łatwą formę płaszczyka i daje miary długości i szerokości. Plecy zeszywa się tylko od góry, na 60 cent. długości a część dolna złożona do spodu w fałdy, pozostaje otwarta. Rękaw *b* wszywa się, podług odpowiednich znaków, w oznaczony na modelu otwór, z boków przymarszcza się trochę przy szwach, a u dołu zaszywa w kontrafałdę. Na kapturku (litera *c*) fałdy oznaczone są krzyżykami i punktami, brzeg górny przymarszcza się i wszywa w listewkę razem z wykrojem szyi. Model odrobiony był z sukienka ciemno bronzowego, a podszewka w kapturku i kokardy przy rękawach były z atlasu w drobne paski kolorowe.

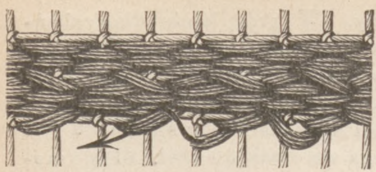
N. 21—22. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Forma na arkuszu z krojami N. XII, fig. 39—43.

Model do ryc. 21 odrobiony był z szewiotu jasno bronzowego w kratkę, a do ryc. 22 z ciemniejszego szewjotu w deseń, ozdobę obydwóch stanowiły stębnówki, piękne rogowe guziki i kokardy ze wstążki. Kołnierze tylko były aksamitne. Przody fig. 39 dopełnione są od iziełnemi częściami fig. 40, które od A do B i od C do D przyszywają się do przodów, a od B do C pozostawia się otwór na wyjęcie ręki. Górna część peleryny stanowiąca rękaw wszywa się od A do E między szew na ramieniu, a dalej aż do D między boczny szew pleców. Dwie dolne części peleryny wszyte z boków między szwy boczne a na przodach przyszywa się w miejscach oznaczonych kropkowanemi linijkami. Część górna ma 33 cent. szerokości a 56 długości, część dolna 22 cent. długości a 59 szerokości. Trzy części zachodzą o tyle jedna na drugą, że środkowej widać tylko 22 cent. a dolnej 13 cent. długości. Szerokość dodaną w środku do pleców składa się pod spód w kontrafałdę, a boczną od D do D składa się podwójnie i pozostawia luźno spuszczoną od spodu.



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

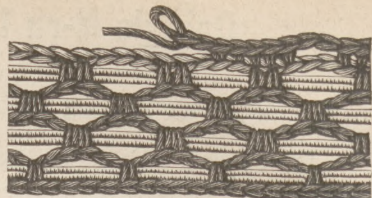
N. 1. Ubranie z vêtement. Zobaczyć przód na ryc. 17. Forma na arkuszu z krojami N. I, fig. 1—5. — N. 2. Ubranie z krótkim płaszczykiem. — N. 3. Paletocik dla małej dziewczynki.



N. 6. Próbka cerowania siatki r. 5.



N. 4. Serweta ozdobiona haftem płaskim i wstawkami siatkowemi. Zobaczyć wstawkę w naturalnej wielkości na ryc. 5, a powiększone próbki roboty na ryc. 6 i 7.



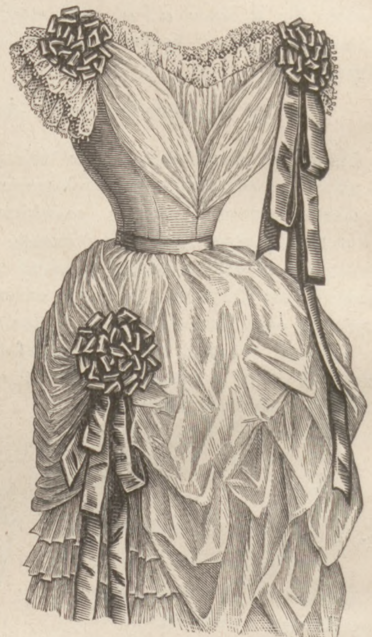
N. 7. Próbka nagłówka do ząbków szydełkowych do siatki ryc. 5.

N. 23—29. Gałązka kwiatów filigranowych.

Ryc. 23 przedstawia bukiecik ułożony z ciemnych liści aksamitnych i kwiatków filigranowych, robionych z kordonku złotego spajanego francuzkim, cienkim jedwabiem, któren zdobił kokardę krawatową ryc. 12; na modelu jedwab był blado niebieski Ryc. 24—26 i 27 przedstawiają oddzielnie kielich kwiatu i pojedyńczy listek, a na ryc. 25, 28 i 29 dajemy dokładne, powiększone próbki roboty. Pojedyńcze listki i kwiatki robi się bez drucika, podług foremek wyciętych ze sztywnego papieru. Nitkę złotą składa się podwójnie ażeby uniknąć końcy przy zaczęciu; z wewnętrznej nitki układa się jedna przez drugą przewijane pentelki zapełniające środek liści. Przy obrobieniu brzegów rzadkim ściegiem dzierganym, zajmuje się środkowe pentelki a w robocie drugiego rzędu, pikoty dodaje się z zewnętrznej nitki złotej. Gałązki kwiatów robi się z dość grubego spiralnego drucika złotego.



N. 8. Stanik wycięty bawetowy, do sukni balowej.



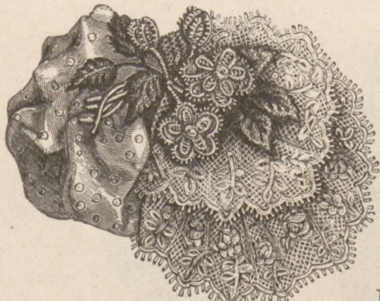
N. 9. Stanik wycięty do sukni wieczorowej.

N. 30. Paletocik z popielatego wełnianego materyału, dla dziewczynki lat 4—6.

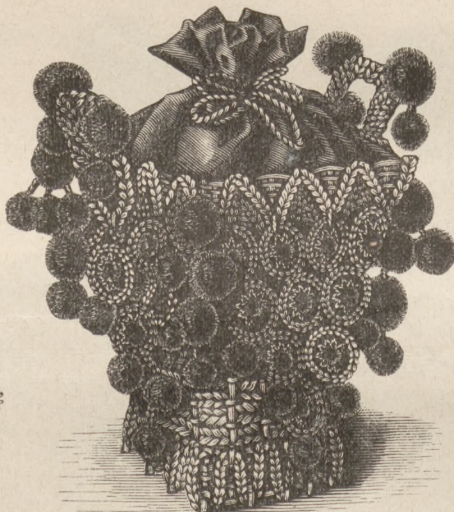
Kołnierz 12 c. i mankiety 6 c. szerokie z aksamitu; do mankietów dodany w górze 4 cent. szeroki pasek z wełnianego materyału, oszyty jedwabnym sznurem.

N. 31. Sukienka dla chłopczyka lat 4—6.

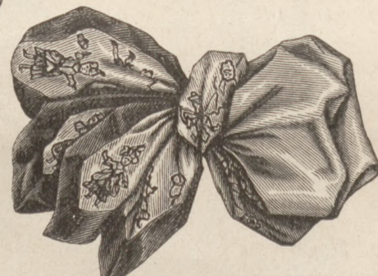
Długa żakietka z szeroko otwartemi przodami, odrobio-



N. 12. Kokarda krawatowa z gazy i koronki. Zobaczyć gałązkę kwiatów na ryc. 23.



N. 10. Koszyk na negliżyki, ozdobiony rozetami szydełkowemi, zobaczyć próbki rozet na r. 5—7 w N. 15.



N. 11. Kokarda krawatowa upięta z chusteczki jedwabnej.

N. 5. Wstawka siatkowa zakończona ząbkami szydełkowemi, do serwety ryc. 4. Powiększone próbki roboty ryc. 6 i 7.



N. 13. Naróżniki do kołnierzyka wykładanego r. 32 w N. 15. Haft „à la minute“ czyli ściegiem nawijanym na igłę.

na z popielatego gładkiego materyału, dopełniona jest kamizelką i plisowaną spódniczką z materyału w kratę czarną z białem. Skośna plisa 8 cent. szeroka dana u dołu, luźny pasek, kołnierzyk i mankiety są z czarnego aksamitu.

N. 32 do 34. Ubranie dla chłopca lat 9—11. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 50—56.

Kurtka i majtki na szwach bocznych zewnętrznych są brzegami założone wąziutko na siebie i zastębnowane; plecy kamizelki są z podwójnego żagnotu, pod przody zaś krajane z materyału dana pojedyńcza podszewka. Szerokie plecy kurtki zszyte są tylko do *n*, niżej zaś mają rozporek brzegami szeroko zachodzący. Ubranie to było z popielatego sukna, z brzegami parę razy przestębnowanemi i guzikami kamiennemi.

N. 35. Ubranie dla druchny.

Przód i boki niezmiernie efektownej toalety dane z białego tiulu mają lekkie i oryginalne przykrycie z gałązek konwalii białej, przyczepianych w równych odstępach i przedzielanych kratką z pereł białych. Tło tiulowe jest lekko namarszczone w kwadraty. Dolne przybranie stanowi atłasowa falbanka układana w kontrafałdy i spadająca na nią frendzla z konwalii. Tren sukni, stanik bawetowy i panier są z blado zielonej materyi surah. Na staniku dodana berta z koronki i frendzli kwiatowej. Zamiast tiulu i kwiatów można użyć na bryty przednie materyi adamaszkowej lub aksamitu.

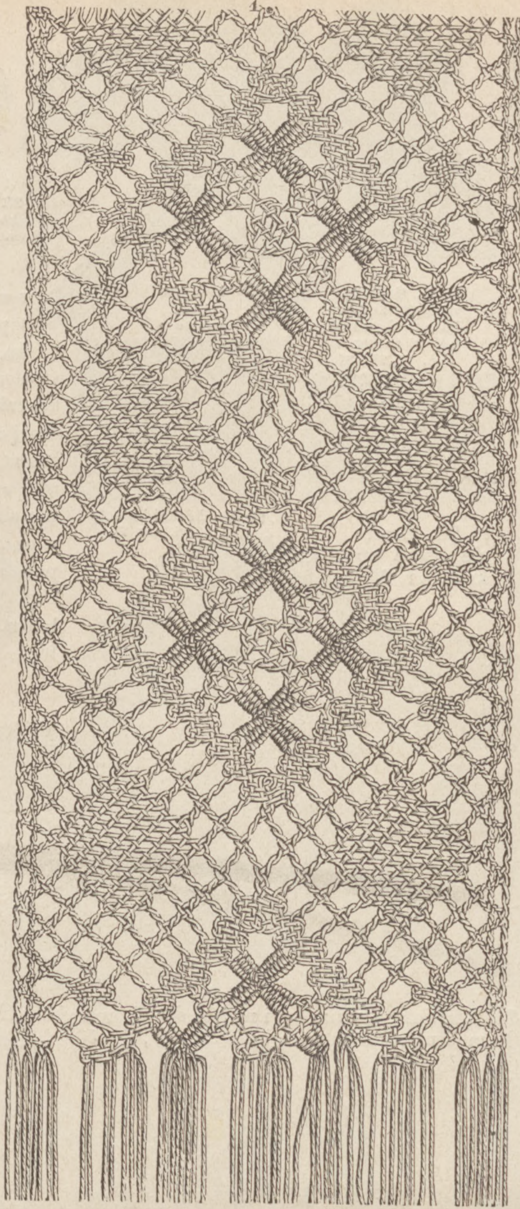
N. 36. Ubranie ślubne z upięciem w bufy.

Odrobione z atłasu z żółtawym odcieniem i z brokatelli w aksamitny deseń użytej na wązki gładki przód. Na bufy upięte z boków sukni zachodzące na siebie na 13 cent. potrzeba czterech kawałków materyi po 114 szerokich a 64 długich, u góry i u dołu zmarszczonych. Długie proste bryty tylne są lekko podpięte, za pomocą tasiemek danych od spodu. Zakończenie stanowi 8 c. szeroka falbanka, ułożona w kontrafałdy. Stanik zapięty z tyłu można uszyć podług formy do ryc. 37; bufowanie przednie pod szyją, dodaje się z oddzielnego kawałka. Welon illuzyjny przyciśnięty mirtowym wianeczkiem.

N. 37. Ubranie ślubne z trenem przypiętym. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 44—49.

Fig. 49 na arkuszu z krojami daje wymiar połowy trenu, który w odstępie po 20 cent. od brzegów bocznych, złożony jest w dwie kontrafałdy po 14 c. szerokie. Górna przednia draperya zachodzi pod tren

N. 16. Płaszczyk wiosenny. Forma na arkuszu z krojami N. XX, fig. 75.

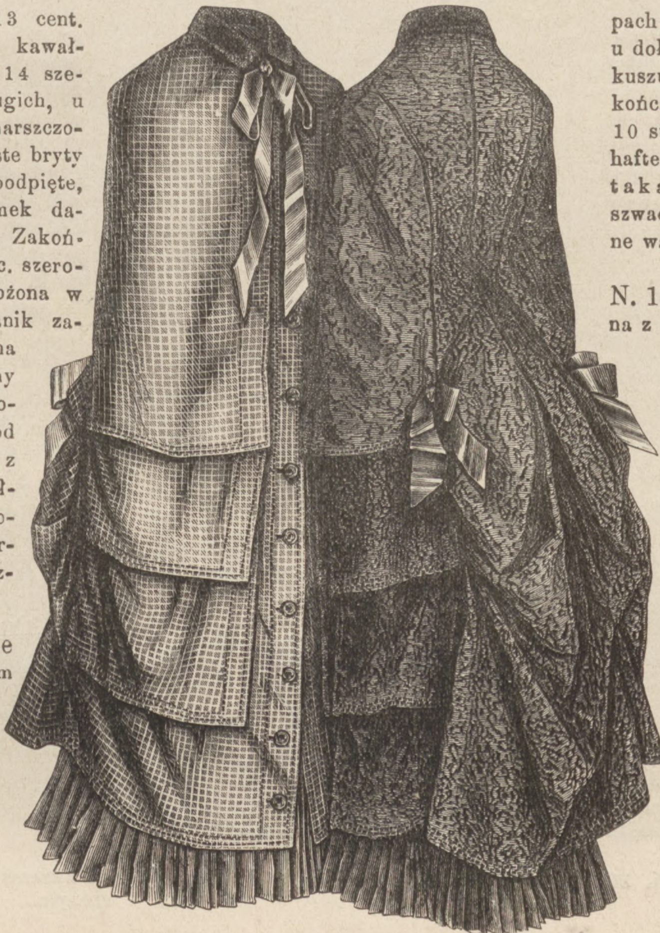


N. 15. Wstawka do bielizny. Koronka saska niciana, robiona na 56 klockach. Próbka roboty na arkuszu z krojami, fig. 35.



N. 18. Szlak do koszuli dziennej ryc. 19 w N. 15. Haft na płótnie bawełną kolorową.

N. 19. Próbka roboty szydełkowej z torsadką mignardisse, na karczek do koszuli dziennej, r. 26 w N. 15.



N. 21—22. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Krój N. XII, fig. 39—43.

i z jednego boku przypina się na haftki. Krótka suknia ułożona z przodu i z boków w poprzeczne fałdy zakończona jest u dołu sutą, szeroką riuszą.

N. 17. Suknia z vêtement. Zobaczyć plecy i krój na r. 1.

N. 14. Naróżnik do kołnierzyka ryc. 32 w N. 18. Ścieg gobelinowy i pojedyńczy.

Opis do N. 15.

N. 1. Koronka irlandzka.

Dajemy ładny wzór koronki irlandzkiej do sukien, serwet, fartuszków i t. p. która odpowiednio do czego ma służyć, odrabia się z dość grubej tasiemeczki czarnej, białej lub piaskowej.

N. 2—3. Płaszczyk z pelerynką, dla dziewczynki lat 6—8.

Krój takiego płaszczyka znajdą czytelniczki w drugim kwartale roku przeszłego. Pelerynka u dołu z tyłu nie zszyta jest na 12 c. wzdłuż, w rozporku tym dodane jest plisowanie atłasowe, a kilka fałd założonych powyżej, przyciska klamra z konchy perłowej. Brzegi pelerynki zdobi wyszycie z sutaszu; guziki kamienne; w około szyi suta atłasowa riusza.

N. 4. Kapelusz wiosenny słomkowy.

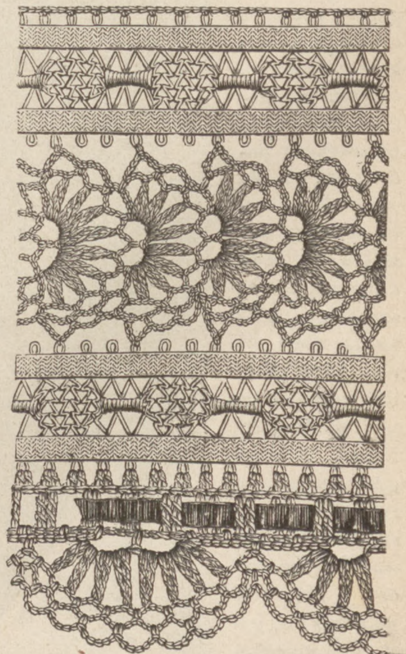
Czarny, słomkowy kapelusz, z główką 10 c. wysoką, opasaną szeroką wstążką atłasową, zdobią z boku trzy wielkie rozety, układane z czarnej atłasowej wstążki 6 c. szerokiej.

N. 9—10. Zakończenie do majtek.

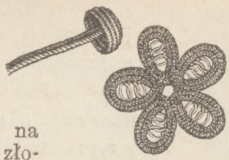
Na ryc. 9 widzimy zakończenie do majtek; złożone z paska cienkiego płótna przestębnowanego w drobniutkie zakładki, w równych odstępach ozdobionych wyszyciem sznureczkowem kolorową bawełną, u dołu dana falbanka dziergana w zęby, podług fig. 81 na arkuszu z krojami. Zakończenie dane na ryc. 10 stanowi wszywka z haftem angielskim i taką falbanką. Na szwach przystębnowane wąziutkie pliseczki.

N. 13. Koszula nocna z haftowanym gorsem.

Przybranie 20 cent. szerokie, stanowiące gors koszuli, składa się z haftowanych wszywek, 4 cent. szerokich, przedzielonych wązkiemi zakładkami, wyszytemi ściegiem cierniowym lub krzyżykowym. Plisowanie oszyte koronką jest 4 cent. szerokie. Rękawy zmarszczone u dołu do 26 cent. obwodu, mają mankiet odpowiedni do gorsu.



N. 20. Próbka roboty szydełkowej z tasiemeczką koronkową do r. 26 w N. 15.



N. 24. Kielich na pręciku z drutu złotego spiralnego do kwiatu ryc. 23.

N. 26. Pięć listków złączonych razem do kwiatu ryc. 23.

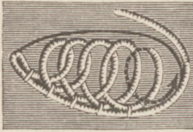


N. 23. Gałązka złotych filigrano kwiatów wych. Zobaczyć powiększone próbki roboty na ryc. 25, 28 i 29.

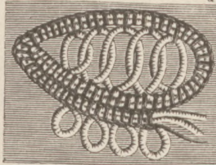
N. 27. Listek z pikotami do kwiatu r. 23.



N. 25. Zaczęcie roboty kielicha do r. 23. Próbka powiększona. Dalsze rzędy robi się ściśle w jednym ciągu.



N. 28. Zaczęcie listka do kwiatu r. 23.



N. 29. Rząd drugi i pikoty do listka kwiatu r. 23.

N. 14. Koszula nocna z zakładkami.

Stan koszuli z cienkiego płótna za-stębnowany jest z przodu w drobne zakładki, dane na szerokość i długość zwykłego gorsu. Szeroki wykładany kołnierz i rękawy wszyte w wązki pasek oszyte są koronką i zdobne kolorowem wyszyciem. Sznur jedwabny związany pod szyją.



N. 30. Paletocik dla dziewczynki lat 4—6.

N. 15—19. Koszule dzienne.

N. 15. Koszula z gorsem marszczonym. Krój na arkuszu N. XV, fig. 57—59.

Marszczone części gorsu wszywają się w stan koszuli od *w* do *x* zmarszczone a od *x* do *y* gładko, u góry zaś znowu są zmarszczone odpowiednio do karczka. Rękawki i karczek składają się z wszywki i koronki złączonych wąską stębnowaną pliseczką. W koronkę nawleczona wąziutka wstążeczka kolorowa.

N. 16. Koszula z karczkiem plisowanem. Krój na arkuszu N. V, fig. 17—19.

Przymarszczony stan batystowej koszuli, krajany podług fig. 17, przyszywa się do plisowanego karczka, na którego tylną i przednią połowę potrzeba dwóch kawałków po 92 c. długich, po złożeniu fałdek dopasowanych podług fig. 18. Na rękawek potrzeba skośnego kawałka 66 cent. długiego, trochę szerszego niż forma dana na fig. 19 a przymarszczonego podług długości formy. Z brzegów karczka i rękawków dany szlaczek haftowany, przewleczony kolorową wstążeczką; po za nim koronka namarszczona 2 centymetry szeroka.



N. 32—34. Żakieta, kamizelka i majtki dla chłopczyka lat 9—11. Forma na arkuszu z krojami N. XIV, fig. 50—56.

N. 17. Koszula z haftowanym karczkiem. Krój i deseń na arkuszu N. IV fig. 12-16b.

Stan koszuli krajany z cienkiego płótna przymarszcza się z przodu od gwiazdki do dwukropka, z tyłu od *h* do dwukropka, odpowiednio do szerokości karczka, który dany jest podwójnie. Zapięcie dane w karczku na ramionach, w ten sposób iż dziurkę obrabia się w przedniej połowie a guzik przyszywa do tylnej, podchodzącej pod spód do *b*. Fig. 16a i 16b dają deseń haftu, który można odrobić białą lub kolorową bawełną.



N. 31. Ubranie dla chłopczyka lat 4—6.

N. 18. Koszula z okrągłym karczkiem.

Może być krajana podług formy danej przy r. 15, nie przecinając z przodu na wstawienie gorsu, a naddając trochę na szerokość na zakładki, stębnowane w stopniowej długości, przegradzane hafcikiem kolorowym. Wązki okrągły karczek kraje się podwójnie i ozdabia u góry ząbkami dzierganemi podług ryc. 20, które zwracają się od ramion w około pachy.

N. 19. Koszula z kwadratowo wyciętym karczkiem.

Ryc. 19 przedstawia koszulę prostą formą, lubioną szczególniej przez starsze osoby. W N-rze 14 na ryc. 18 dajemy w naturalnej wielkości deseń kolorowego haftu, zdobiącego karczek, zakładę przednią przy rozporku 23 cent. długim i rękawki.

N. 21—25. Chusteczki do nosa.

N. 21—22. Chusteczki z jedwabnem obrębem.

Białe batystowe tło chusteczek liczące 30 c. w kwadrat, otoczone jest 5 c. szerokim obrębem z jedwabnego fularu w kratę kolorową lub rzucik w jednym kolorze. Na rogach wstębnowane są małe białe kwadraciki.

(*D. c. n*).

N. 35. Ubranie dla druchny. Suknia z trenem i ze stanikiem wyciętym. N. 36. Suknia ślubna z trenem w bufy podpiętym. N. 37. Suknia ślubna z trenem gładko spuszczonym.



Pl. 533.

Nr 13

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.